Numer 15. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 13 Kwietnia 1930**



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Chybiony podstęp.

Dzienniki brukselskie donoszą o ciekawem zajściu, które rozegrało się w jednym z sądów stolicy.

W sądzie tym stawał pewien adwokat, prowadzący sprawę czteroletniego dziecka, pokrzywdzonego majątkowo.

Dzielny obrońca przyniósł do sądu swego małego klijenta i trzymając go wciąż na ręku, przemawiał w jego obronie tak tkliwie i wymownie, że wzruszył do głębi sędziów. A wzruszenie to trybunału potęgowała jeszcze bardziej okoliczność, że trzymany przez adwokata malec zalewał się łzami, jakby rozumiejąc każde słowo opiekuna.

Oczywiście nie podobało się to bardzo adwokatowi strony przeciwnej. Płacz dziecka, roztkliwiający sędziów, działał na niego denerwująco. Wreszcie nie mogąc wytrzymać tego płaczu, zagrażającego mu przegraną, zawołał zniecierpliwiony:

— Czego się tak drzesz, dzieciaku?!

A wystraszony malec odparł, szlochając:

— Bo mnie ten pan szczypie!

Jakby piorunem rażony, obrońca malca, zaniemówił. Roztkliwienie sędziów prysło, jak bańka mydlana i sala sądowa zatrzęsła się od śmiechu sędziów i publiczności.

Podstęp sprytnego adwokata chybił najzupełniej celu.

Doparowane.

Kupiec, znany z niehumanitarnego obchodzenia się ze swoją służbą, beształ stróża słowami:

— Ty złodziejski sługo!

— Jak długo służę u pana, tak dopiero dzisiaj dowiedziałem się u kogo służę — odparł stróż.

U zegarmistrza.

— Co kosztuje ten zegar?

20 dolarów. Jest to zegar, który idzie 30 dni bez nakręcania.

— Nie może być! A ileby szedł, gdyby go nakręcić?

Nasze dzieci.

— Moja mamusia suszy na zimę, gruszki, jabłka, śliwki, a twoja?

— Moja, głowę tatusiowi.

Ostatnia wola.

Stary Bramson w testamencie polecił swym spadkobiercom, aby przy pogrzebie włożyć mu do trumny sto tysięcy dolarów.

— Czy mamy to naprawdę zrobić, pyta najmłodszy syn, co on będzie miał z tego w ziemi?

— On tak rozporządził, powiada drugi, musimy uszanować jego ostatnią wolę i wykonać, co nam kazał.

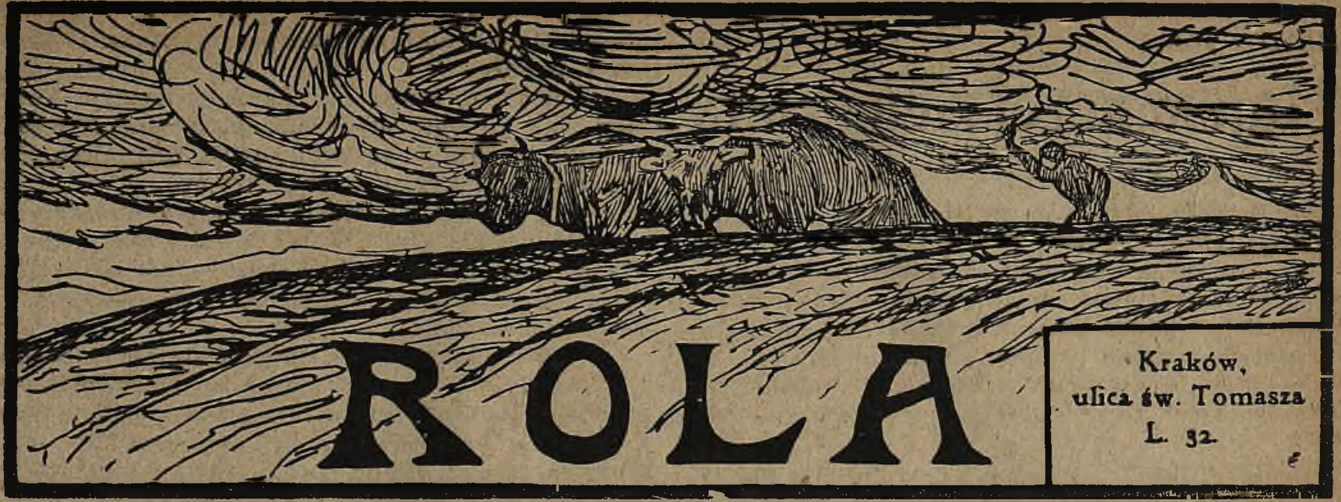
— Naturalnie zgadza się najstarszy, my tę sumę włożymy mu do grobu w czekach płatnych na okaziciela, to tyle warte, co i gotówka.

— Kto z państwa czeka najdłużej? — zapytuje uprzejmie dentysta, otwierając drzwi poczekalni.

— Ja! — odpowiada jakiś energiczny głos — od dwóch lat czekam na zapłacenie ubrania.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 15. Rok XIII. Kraków, dnia 13 kwietnia 1930.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Niedziela Palmowa.

Niedzielę Palmową obchodzi świat katolicki z wielkiem nabożeństwem. Posiada ona niezwykły urok. Po kościołach smutno i ponuro, bo oto w dniu tym rozpoczynają się uroczystości na pamiątkę męki i śmierci Pana Jezusa. Ale choć na zewnątrz panuje smutek, to serca przepełnia otucha, że Ten Zbawca nasz Ukrzyżowany zmartwychwstanie i przyniesie odkupienie ludzkości.

Niedziela Palmowa to święto wiosny i nowego życia! Kościół dnia tego święci najwcześniejsze dary odradzającej się przyrody, to, czem najpierwej uśmiecha się zmartwychwstające życie ziemi. Błogosławi palmy uwite ze srebrzysto-białych bazi wierzbowych i lśniąco-czarnych kitek trzciny rzecznej.

To też Niedziela Palmowa czyli Kwietnia, lubo nie posiadająca cechy święta uroczystego, bywa u nas solennie obchodzona. Jest ona dniem, do którego lud polski w wielu okolicach przywiązuje mnóstwo wierzeń i zwyczajów. Zwyczaje te dotyczą przedewszystkiem palm, które gdzieniegdzie urastają do rozmiarów okazałych pęków. W Niedzielę Palmową każdy, stary czy młody, związuje gałązki wierzbiny i trzciny w palmę, stroi ją wstążkami z papieru i niesie do kościoła dla poświęcenia.

Pasterze, powróciwszy z kościoła, w niektórych okolicach obchodzą naprzód dom trzy razy, uderzając palmą trzy razy o każdy węgieł, aby w domu nie było much i robactwa. Potem idą do stajni, gdzie mieszają palmą w żłobach, aby wypędzić z nich chorobę szkodliwą dla bydła, jakaby się w nich ukrywała. Niektórzy omiatają palmami krowy, aby się ich zaraza nie chwytała i koniom ocierają nozdrza, aby żadnej choroby nie powąchały. W innych okolicach robią z poświęcanych palm krzyżyki, umieszczają je na kalenicy strzechy, aby one chroniły chatę od piorunów. Takie same krzyżyki wtykają na roli, aby one odwracały od niej chmury gradowe.

W niektórych domach można widzieć przez cały rok palmy stojące na oknie, a to w tym celu, aby one odpędzały od chaty złe duchy.

Bazie wierzbowe, wchodzące w skład palmy, mają także, zdaniem ludu naszego, zbawienne własności. Powiadają niektórzy, że kto w Niedzielę Palmową połknie taką bazię, będzie zabezpieczony cały rok od febry, a gdy połknie trzy, gardło w tym roku wcale boleć go nie będzie. Są okolice, w których bazie, zmieszane z ziemniakami, dają bydłu do zjedzenia celem zabezpieczenia go od różnych chorób. W innych zaś stronach rzucają owe bazie do zboża, które ma być wysiane, aby otrzymać z siewu dobry urodzaj i zboże niezaśniecone.

Wszystko to są wierzenia ludu naszego, które nikomu szkody nie przynoszą, a są objawem tej głębokiej wiary ku wszystkiemu, co zostało przez Kościół uświęcone. Samo święcenie palm jest pamiątką wzniosłą, bo przypomina nam uroczysty wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy, stawiając nam zarazem przed oczy nową wielką niewdzięczność ludzką, jaka spotkała Zbawcę naszego za tyle otrzymanych od Niego dobrodziejstw.

Zwyczaj święcenia palm w Niedzielę Palmową sięga bardzo dawnych czasów, a uroczystość kościelna połączona jest niejako z powitaniem wiosny, która odtąd zdaje się ukazywać w całym blasku i majestacie. Niedziela Palmowa jest niejako symbolem, że po dłuższej lub krótszej zimie życia naszego czeka nas nieskończona wiosna u stóp tronu Bożego.

Odrodzenie przyrody do nowego życia zbiega się tu z odrodzeniem dusz ludzkich z zimy grzechowej i zwróceniem się ich ku Bogu.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

Święta zaczęła śpiewać głosem cichym i nadzwyczaj smutnym.

Rjumin zaraz przypomniał sobie ten posępny, melancholiczny śpiew. Często podczas ciemnych nocy słyszał go, gdy obozował z wojskiem pod szczerem niebem, a teraz dopiero zrozumiał łączność tego śpiewu z ówczesnemi wypadkami: w takich nocach zawsze uciekało kilku żołnierzy jego do moralistów.

Jest to straszny psalm tych religijnych fanatyków. I melodja jest smutna, prawie że straszna, dostosowana do treści słów. Przyciskając dwa palce do warg, święta śpiewała:

Zabij istotę, którą kochasz najbardziej,
Zniszcz rzecz, która ci najmilsza,
Męcz ciało swoje męczarniami krzyża —
Za to przyjdziesz do rąk Bożych

I poznasz rajskie rozkosze.
Nie płacz nad własną krwią przelaną,
Którą Pan zrasza łany niebieskie,
Życz sobie umrzeć w najstraszniejszy sposób —

Za to przyjdziesz...
Śpiewaj sobie, szukając strapienia,
A nigdy nie narzekaj,
Ból zdradza rozkosz, a nigdy żal,
Za to przyjdziesz...

Nadzwyczajny smutek opanowuje serce ludzkie podczas tego bluźnierczego śpiewu najskrajniejszego fanatyzmu, wychodzącego z ust trupa.

Kiedy skończyła się pieśń, odezwała się w krzakach rozgniewana pantera groźnym pomrukiem, a dwoje iskrzących się oczu zabłysło wśród zielonego liścia. Przestraszone konie rzucały się i głośno rżały, zaś dzika bestja bez obawy wyszła ze swej kryjówki; nie bała się ludzi, wiedząc, że jest bóstwem, któremu nikt nie uczyni krzywdy, że jest wielkim cmentarzem, mającym w swym żołądku pogrzebione liczne święte.

Biedna istota jedną ręką w tym niezmiernym strachu zakryła sobie twarz, zaś drugą ręką rzuciła bestji sarninę, którą jej dał Rjumin. Mrucząc gniewnie, porwała bestja rzucone mięso, wywijając przytem ogonem. Prawdopodobnie rozmyślała, czy ma pożreć rzucone jej mięso, czy też ofiarodawczynię.

Była to już stara pantera, nie mogąca już polować, kazała się więc żywić, zadowolona była ze zdobyczy, która nie mogła się ani bronić, ani uciekać.

Zdecydowała się pożreć sarninę, a podczas kiedy zajęta była pożeraniem mięsa, ciągłem swojem pomrukiwaniem napędzała strachu biednemu dziewczęciu, które też dlatego w wielkiej pokorze klęczało przed swoim tyranem.

Mniej pokornie wobec pantery zachował się Osjetyniec.

— Morowym jesteś bohaterem, wąsaty panie! Nie wstyd ci to przyjść tutaj i zabrać od ust biednemu dziewczęciu ostatni kawałek? Gdybyś był honorowem zwierzęciem, przynosiłbyś świętej, mieszkającej w tym lesie pokarm i napój, jak ongiś lew nosił Antylopy Mohamedowi, a kruk chleb Eliaszowi. Ty żywisz się jednak żebraniną i każesz się utrzymywać wynędzniałemu biedactwu! Masz przed sobą cały las, w którym możesz upolować tyle dzikich kóz, ile tylko twoje serce zapragnie. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej podłej pantery, jaką ty jesteś, łotrze wąsaty!

Mówiąc to, rzucił na panterę potężnym kamieniem, na co ona odpowiedziała głośnem wyciem i prędko uciekła do gęstwiny, zabierając mięso. Przestraszone konie rżały w swej kryjówce.

I chociaż bestja uciekła, jeszcze drżało dziewczę na całem ciele. Jej członki, nadmiernie wrażliwe dygotały od zimna, a bezkrwiste ciało ledwo trzymało się na nogach, Rjumin jeszcze raz podał jej flaszkę z wódką.

— Nie, nie chcę, — sprzeciwiło się biedactwo i pokazała, jak jej ciąży głowa po pierwszem popiciu. Nie mogła się już utrzymać na nogach. Po rękach i kolanach wlokła się napowrót do wieży, gdzie zagrzebała się do suchej trawy i długo jeszcze brzmiało stamtąd:

Ból zdradza rozkosz, a nigdy żal
Za to przyjdziesz do rąk Bożych,
I poznasz rajskie rozkosze...

— Ponieważ nie wolno nam rozniecić ognia, — rzekł Osjetyniec, — bo zdradziłby on, że w zamku królowej Tamary nocelgują obcy, jeden z nas musi zawsze z bronią w ręku stać na straży, a drugi może spać. Pierwszy idź spać ty!

Rjumin nie dał się dwa razy prosić, położył się na ziemi i usnął. Osjetyniec pozwolił mu spać do rana, widząc, jak smacznie śpi. Dopiero przebudziło go wschodzące słońce.

Kiedy zaś otwarł oczy i rozglądnął się po okolicy, zapytał się jeszcze zupełnie zaspany:

— Gdzie jest moja siostra?

Myślał rzeczywiście o siostrze, bo śniło mu się, że się z nią przechadzał w przepięknym parku Carskiego Sioła.

— Tam jest, — odrzekł Osjetyniec, wskazując w stronę wieży, — właśnie zaczyna śpiewać.

Z głębi wieży dochodził smutny śpiew:

Zabij istotę, którą kochasz najbardziej,
Zniszcz rzecz, która ci najmilsza...

— Uchodźmy stąd szybko — wezwał Rjumin teraz Osjetyńca.

W krzakach słychać było trzask łamanych gałęzi pod nogami ludzkiemi. To synowie anielscy przychodzili, przynosząc swej świętej pokarm.

Na znacznym obszarze, prostokątnie wykarczowanym stała wieś „synów anielskich", podobna do zielonej oazy, znajdującej się wśród pustyni. Ziemia podzielona była wszędzie na małe prostokąty, a każdy zasiany był innem zbożem. Rola nie była własnością poszczególnych osób, ale wszyscy wspólnie ją uprawiali, i potem wszyscy mieszkańcy wsi plony równo rozdzielali.

I domy były wszystkie do siebie podobne, co wywoływało u obserwatora wrażenie jednostajności, chociaż wszystkie budynki były dosyć ładne, na szczycie każdego z nich znajdował się krzyż.

Drogi proste były starannie utrzymane. Wieś przerzynał potok. Ręka ludzka, pogłębiła go i zamknęła w wąskie koryto. Na wszystkie strony rozchodziły się z niego małe kanały, nawodniające pola i łąki.

Gdzie tylko oko spojrzało, wszędzie znalazło ład, świadczył on więc o wielkiej pilności i pracowitości mieszkańców. Mosty, łączące poszczególne drogi, były doskonale zbudowane, i takie mosty rzadko znajdziesz po wsiach w Rosji.

Za każdym domem ciągnął się sad. Jego urządzenie również świadczyło o pilności właściciela.

Droga prowadząca do wsi, zdradzała też pracę człowieka kulturalnego. Koła wozów wyryły w niej głębokie ślady. Moraliści używają wozów trochę dziwacznych, zastosowanych do warunków tej ziemi; używają właśnie wozów długich na niskich ale szerokich kołach opartych, a wprzęgają w nie dziesięć lub dwanaście wołów.

Nasi wędrowcy zupełnie nawet nie potrzebowali prosić o wstęp do wsi synów anielskich śpiewaniem pieśni, której nauczyli się od świętej. Mieli czerkieskie ubrania, mieli i dudy i gitarę, a to otwarło im wrota do osady fanatyków.

Obcych przyjmują moraliści chętnie, obawiają się tylko swoich własnych rodaków, podróżujących Rosjan, tym stanowczo odmawiają przytułku.

Właśnie były żniwa i cały lud pracował na polach. Pierwszy człowiek, którego nasi wędrowcy spotkali, szedł obok wozu, pełnego zboża. Kiedy Osjetyniec przemówił do niego, zaraz zatrzymał wóz i chętnie poprowadził ich do domu wójta.

Odrazu każdego musiało uderzyć, że w tym kraju, gdzie każdy uzbrojony jest po zęby, gdzie mężczyźni, ani przy jedzeniu, ani podczas snu nie odkładają nożów i pistoletów, właśnie mieszkańcy tej osady nigdy nie nosili broni, a nawet nie było można widzieć zwykłego noża.

Drugą nadzwyczajnością było to, że młodzi mężczyźni nosili wąsy i brody, zaś starsi wszyscy mieli twarze gładko wygolone. Co jeszcze było charakterystycznem — nigdzie na ulicy nie pokazała się młoda kobieta, ani dziecko. Na polach i w ogrodach pracowały tylko kobiety stare.

Dom wójta, do którego Rjumina i jego towarzysza zaprowadzono, był urządzony z prawdziwym przepychem i posiadał wygody, z jakiemi spotkać się możemy tylko w miastach europejskich. Mieszkanie zdobiły drogie meble, musiano je pewnie przywieźć zdaleka i to za grube pieniądze.

Wójt był to poważny mężczyzna o wysokiej silnej postawie. Twarz miał starannie wygoloną. Miał dwóch synów, co jest rzadkością u synów anielskich, bo wolno im mieć tylko jednego męskiego potomka. Wyjątek stanowili synowie wójta, gdyż byli bliźniakami.

Wójt był kupcem. Z wyrobami czerkieskich złotników, z najróżnorodniejszemi klejnotami i drogą bronią, wykładaną złotem, puszczał się podczas swych kupieckich wędrówek aż do Suczuk-Kaleh, gdzie kupcy z Damaszku i Bagdadu poszukiwali gorliwie jego towarów, a wracał stąd ze znaczną ilością perskich i kaszmirskich materyj, które znów za drogie pieniądze sprzedawał Czerkiesom.

W stajniach jego stało koło ośmdziesiąt osłów, niemi to rozwoził swe towary, a w wędrówkach tych towarzyszyli mu dobrze uzbrojeni Abarchazowie. Wójt był człowiekiem bogatym, może najbogatszym w całej osadzie.

I u innych mieszkańców panował dobrobyt. Ludzie odznaczali się pilnością, jedli mało, pili tylko mleko lub lekkie piwo, które sobie sami w najprostszy sposób w domu gotowali. Wódki nie znali tu wogóle.

Lud ten wyrzekł się wszystkiego, co go kiedyś łączyło z krajem rodzinnym z wyjątkiem języka. Sądząc ze zwyczajów i obyczajów, panujących w tej wsi, niktby nie mógł powiedzieć, że znajduje się wśród Rosjan.

Wszystkich cechowała nadzwyczajna powaga, nikt nie wypowiedziałby obelżywego albo zbytecznego słowa. Na pytania obcego odpowiadają grzecznie, ale sucho. Starannie unikają niepotrzebnych rozmów. Nie wynoszą się, ale też nigdy nikomu nie schlebiają.

Trochę zasługują nawet na nazwę, którą sami sobie nadali, nazywając się „Synami anielskimi". Są pilnymi, nigdy do nikogo nie odnoszą się wrogo, spokojnie i bez gniewu przyjmują obrazę, przebaczają wszystko i każdemu, nie kradną, nie znają, co to zamek i skrytka, nikogo nie oszukują, a jeżeli obcy ich okradnie i oszuka, nie przeklinają go, nie ścigają, ale dziwią się, dlaczego ich nie poprosił o rzecz, której koniecznie potrzebował i którą chętnie daliby mu dobrowolnie.

Lud ten nie potrzebuje sądów. Nikt nie ma prywatnej własności, niema sporów o „twoje" i „moje". Wielkie bogactwa, które naczelnik zdobył podczas swych kupieckich podróży, służą do pozyskiwania dla osady nowych zwolenników.

A jednak ich najniemiłosierniej w Rosji prześladują. Nawet największych zbrodniarzy tak się nie prześladuje, jako członków tej religijnej sekty.

Zasługują też na to zupełnie! Nie można sobie przedstawić większych szaleńców-fanatyków religijnych, jakimi są „synowie anielscy". Wszystkie ich dobre zalety, któremi się rzeczywiście odznaczają, cała ich poczciwość i szczerość życia nikną z powodu jednej zasady, której ci sekciarze hołdują.

Łączą się oni i tworzą organizację, tępiącą ród ludzki.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Święta góra.

(Legenda.)

Z pól świeżo zoranych zerwała się szara ptaszyna i ćwierkając cichutko bujała w powietrzu blisko ziemi, to wznosząc się, to opadając naprzemian. Słońce jaśniało na niebie i minąwszy południe, chyliło się ku zachodowi. Błękit był jasny, bez chmurki, bez plamki i mgły. Z łąk podnosiły się wonie. Skowronek zatoczył kilka kręgów, lecz skrzydełka mu drżały, leciuchno zaczynał śpiewać, lecz milknął, bo duszno było przy ziemi. Naraz rozpostarł skrzydła, wywinął dziób w górę i strzelił pod niebo. Śpiew radosny dobył się z piersi ptaka, rozległo się urywane dzwonienie, ale głos był słaby i nie zabrzmiał jeszcze pełną piersią. Nagle zawisł rozpostartemi skrzydłami w falach powietrza i umilkł.

Złowroga cisza była dokoła, głosy dolin tonęły w przestworzu. Lecz po chwili, nabrawszy tchu, uniosła się ptaszyna po linji prostej do góry i z pierzastej szyi wydobył się śpiew, jakiego nie ma równego natura. Śpiew rósł, potężniał w miarę zbliżania się w niebiosa. Z ziemi nie dochodził już najlżejszy szmer, a w górze błyszczały same błękity. Po chwili ptaszek rozpostarł skrzydła, zawisł w powietrzu i zamilkł, bo słońce gorzało na niebie, jak lampa światłości, roztapiając niebo żarem i rozjaśniając ciemności ziemi, więc wydobyło się z piersi jego kwilenie jakby z zachwytu uniesienia. Już zniknął dla oczu ludzkich i słychać było tylko ten dziwny, słodki, tajemniczy, kojący serce hymn tuż pod sklepieniem niebios. A ptaszyna była u szczytu wzlotu i patrząc w niebo, dzwoniła natchnioną, trium-

falną pieśń przestworzom, Temu, który nakrył wszystko błękitami, który przesuwa jak ziarnka piasku gwiazdy, słońce i księżyc, który stwarza i niszczy.

Raz jeszcze chciała wzbić się wyżej, aby zanucić srebrzyściej Stwórcy i resztę duszy w śpiew włożyć. Lecz na jej źrenice padła mgła omdlenia. Cisza nieprzenikniona panowała w górze i w dole. Nagle ptaszyna umilkła i zaczęła opadać ku ziemi. Ogarnęła ją trwoga, bo na słońce czyste, jak morze krwi, zaczęła nasuwać się czarna plama, która rosła i pokrywała już dużą część słońca. Powietrze jakby drgało od smug pomarańczowych, niebieskich, wreszcie fioletowych. Ptak zachwiał się, zatrzepotał skrzydełkami i nie mając siły zatrzymać się w powietrzu, runął w powietrzną toń. Lecz wir orzeźwił ptaszynkę, znowu roztoczyła skrzydełka i zatrzymała się w połowie drogi, zataczając kręgi. Spojrzała w słońce, a z pod czarnej plamy strzelały po bokach iskry złotemi promieniami. Urywane łkanie wyrwało się z piersi ptaszyny, długo spadała na ziemię pół przytomna i bojąc się patrzeć w niebo, zwróciła oczy ku ziemi, patrząc między wzgórza, równiny, lasy i rzeki. Pod nią wznosiła się i błyszczała w ciemnościach, jak kopuła kościoła, góra dziwna, na której czerniło się mrowie ludzkie, a wrzawa dochodziła do niej niby syk węża. Ulękła się ptaszyna, aby jej kto nie dojrzał i nie ubił z procy, zaczęła więc szybować w coraz to inną stronę. Wtem spostrzegła, że ludzie schodzą z góry i tylko kilka punkcików porusza się na wierzchołku. Sfrunęła niżej i zobaczyła wśród ciemności, że na szczycie góry na wysokich drągach rozpięte są trzy postacie ludzkie. Przy środkowym najwyższym drągu, na którym bieliło się ciało, widać było trzy osoby. Niewiasta klęczała u stóp belki jak skamieniała, koło niej stał człowiek z twarzą zwróconą w postać na krzyżu, a z boku oparty o włócznię stał żołnierz. Wszyscy byli niemi, ani jeden jęk nie wydobył się z piersi ludzkich.

Skowronek zbliżył się do słupów. Człowiek zawieszony na środkowym, zwrócił swe oblicze w górę. Twarz Jego była blada, pokryta potem i kroplami krwi, które ściekały na piersi, usta rozchylone i szeptające posiniałe były od bólu. Na czole jeżył się wieniec cierniowy, którego kolce wbijały się głęboko, raniąc i krwawiąc głowę umęczoną. Oczy zalane krwią skierowały spojrzenie miłości w niebo, z warg zbielałych spłynęło jedno słowo: „Dokonało się". Ptaszyna zadrżała i poczęła opadać niżej. Już była nad głową rozpiętego na krzyżu, gdy spostrzegła żołnierza, który podnosił włócznię w górę. Struchlała, już miała odfrunąć, lecz spojrzenie jej padło na zwisniętą głowę. Znieruchomiała i zaczęła jękliwie kwilić, jakby wołać o pomoc. Uczuła ból w sercu, żal i zawisnąwszy nad głową Zbawiciela, zaczęła z czoła zalanego krwią wydziobywać kolce. Obskubywała ciernie i rzucała je na ziemię, a z ostatnią gałązką wzbiła się w niebo. W tej chwili plama ze słońca zaczęła powoli się obsuwać, słońce wyjrzało swą purpurową źrenicą, zapaliło blaski na ziemi i ozłociło ciała umęczonych. Ptaszyna zapatrzona w słońce, szybowała coraz wyżej, niosąc w niebo niemą skargę i żal na niesprawiedliwość i okrucieństwo ludzkie. Kwilenie jej rosło, potężniało, a śpiew stawał się przejmujący i dziwny. W tej chwili zgasł na zachodzie ostatni promień najstraszniejszego dnia na ziemi, lecz ptaszyna wciąż leciała w górę, aż zatarła się granica między niebem a ziemią.

Tak zaniósł skowronek przed tron Boga gałązkę wieńca cierniowego. *Irena Kaputówna.*

Ukrzyżowany.

Smutno na ziemi...

Jak kirem pokryta, cicha, strwożona, wstydząca się zbrodni, to jęknie wichrem, że ranek nie świta, to skarży niebu, że skąpi pochodni, co w noc tajemną rzuca światło blade, by Pan Bóg mógł widzieć nienawiść i zdradę.

W szumie palm smukłych słychać jęk boleści, w echach dalekich gromu ryk i burzy... Cedry szeleszczą krwawe opowieści, gaj nad Jordanem łoskotami wtórzy, i taka drżąca, trwożna ziemia cała, jakby od grozy wielkiej już konała.

Wtem na niebiosach błysło coś zza chmury i w smudze światła kąpie się Golgota... O jakiż widok krwawy i ponury!... Tam śmierć się z życiem o zwycięstwo miota i blada, straszna sięga ponad szczyty, gdzie Pan umiera do krzyża przybity.

Zagasło... ciemność... cisza wszędzie głucha... Jakże okropna ta noc, to milczenie!...

O wyklnij, Panie, lud, co w lęku słucha, uderz gromami we wszelkie stworzenie, niech w proch znikomy ta ziemia się zetrze i niech przepadnie na burzy i wietrze!...

Lecz cóż to?... Światło błysło potokami... Przestwór znów jasny, choć jak trup zbielały... W tej ciszy głuchej wszystko drży słowami, które świat echem wypełniają cały... Ziemia miłości staje się świątynią: „Przebacz im, Ojcze, nie wiedzą, co czynią!"

Szczęść Boże!

Nadeszła jasna wiosna
Rubinów tlą się zorze,
Zjawia się twarz radosna
Rolników... szczęść wam Boże!



Wnet ziarno rzuci w ziemię
By chleb rodziło hoże,
Żywiło Piasta plemię...
Do pracy... szczęść wam Boże!
Skowronek w niebo dzwoni,
Piosenką brzmi przestworze
Wszech wielkie szczęście roni
Do pracy... Szczęść wam Boże!

Wincenty Kuglin.

UKRZYŻUJ GO! UKRZYŻUJ!



Gdy Piłat wszedł do izby żołnierskiej, zastał Pana Jezusa siedzącego na kamiennem podwyższeniu, z cierniową koroną na głowie, okrytego w czerwony łachman i trzymającego trzcinę w ręce. Twardy Rzymianin zadrżał przecież na ten widok i coprędzej kazał iść Zbawicielowi na ganek za sobą. A gdy wyszedł przed ratusz do żydów, wskazując na Pana Jezusa, rzekł:

— Oto człowiek!

Powiedzeniem tem chciał Piłat wzbudzić litość u zgromadzonych rzesz, chciał niejako powiedzieć: „Patrz narodzie! Oto twój dobrodziej, który ci tyle dobrego wyświadczył, tak srodze jest ukarany. Dość będzie tej kary. Wszak On nie z kamienia, nie z żelaza, przecież On ma czucie, a i tak jest już najokrutniej skatowany! Zlituj się nad Nim, nie żądaj Jego ukrzyżowania, dopuść, bym Go wypuścił na wolność.

Zdawałoby się, że Piłat postąpił tu jak najuczciwiej, ale tak nie było, jeżeli bowiem widział, że Pan Jezus jest niewinny, a nie ulega wątpliwości, że o tem wiedział, to bez próby wzbudzania litości u żydów powinien był Pana Jezusa uwolnić. Jeżeli tego nie uczynił, to żadne wybiegi nie zdołają go usprawiedliwić.

Pospólstwo, zobaczywszy swą ofiarę tak strasznie skatowaną, oniemiało z przerażenia, wiele serc zabiło litością dla Pana Jezusa. Ale lud miał złych przewódców, śmiertelnych wrogów Chrystusa! To też gdy najwyżsi kapłani i służebnicy ujrzeli Jezusa, zawołali bez litości w jakimś dzikim szale:

— Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj!

Zrzucenie winy z siebie Piłatowi się nie udało. Zniecierpliwiony więc do najwyższego stopnia rzekł do żydów:

— Wy Go weźmijcie, a ukrzyżujcie, bo ja w Nim winy nie znajduje!

Lecz żydzi nie zgodzili się na to i dalej wołali, żeby Piłat Pana Jezusa ukrzyżował. Przestraszył się Piłat bardzo, gdyż jako poganin wierzył w wielu bogów i przypuszczał nawet, że Pan Jezus jest rzeczywiście synem któregoś z tych bogów. Jeżeli Go więc skrzywdzi, to gotów ściągnąć na siebie gniew owego boga. Dlatego też Piłat chciał w jakikolwiek sposób wykręcić się od wydania niesprawiedliwego wyroku. Żydzi, widząc jednak jego wahanie się, użyli groźby, mówiąc mu:

— Jeżeli tego wypuścisz, nie jesteś przyjacielem cesarskim. Każdy bowiem, co się czyni królem, sprzeciwia się cesarzowi. A on przecież królem zwać się każe!...

Nawet żona Piłata, choć również poganka, nakłaniała męża, aby uwolnił Pana Jezusa. Mówiła mu:

— Nie czyń nic złego temu sprawiedliwemu!

Lecz żydzi nalegali, gdyż chcieli przed świętami jeszcze, które się wieczorem rozpocząć miały, zgładzić Chrystusa.

Piłat używa jeszcze ostatniego sposobu. W rozgorączkowaną tłuszczę, wskazując na Jezusa, rzuca ostatnie upomnienie:

— Oto król wasz! Oczekiwany Mesjasz, któremuście niedawno śpiewali: Hosanna!

— Strać! Strać! Ukrzyżuj Go — wołą pospólstwo.

— Króla waszego ukrzyżuję?

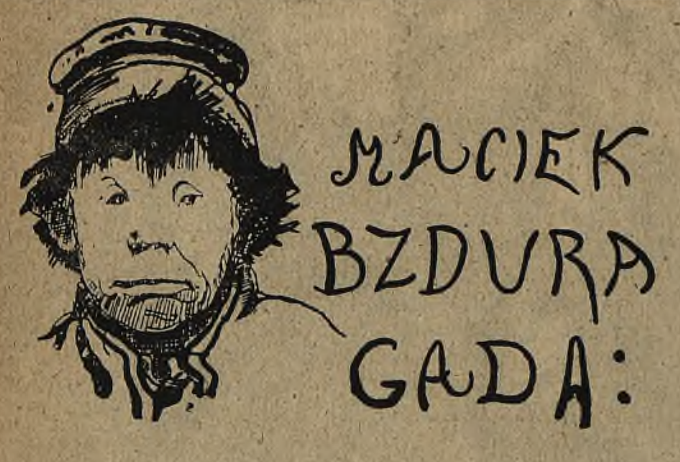
— Nie mamy króla, jeno cesarza!

Piłat, widząc, że nic nie pomoga, ale coraz większy wszczyna się rozruch, wziąwszy wody, umył ręce przed pospólstwem, mówiąc:

— Nie winienem ja krwi tego sprawiedliwego!

— Krew Jego na nas i na syny nasze! — zawołał lud.

Stało się, czego pragnęli żydzi: Pan Jezus poniósł niewinnie śmierć męczeńską, a żydzi, jako tułacze, rozbiegli się po całym świecie, nie mając nigdzie swej ojczyzny.



Powiada stare katolickie przysłowie, że jak Poniezus dopuści, to i z kija wypuści, to znacy, ze zdarza się tak, iz choć nima przycyny, to skutek jest. I wiadomo, ze juz nieraz przysłowie to na niejednej dzieuse się sprawdziło. Ani ona gospodarzstwa ni ma, ani własnego grontu, ani rodzonej chałupy, a Poniezus jej daje brzdąca, którego się nawet bez parę tygodni nie spodziewała. Zdarza się to róznem dzieuchom nie ino w Psiej Wólce, ale i w inksych więksych miastach. I rady na to nima, bo tak było, tak jest i tak będzie, bo to powiadają, ze nieszczęście nie chodzi po górach, ino po ludziach.

A ze się to zdarza dzieuchom, to temu się dziwić ni mozna. Spodnicyny na nich krótkie, przyodziwa mikrna, to przecie lada dziurką wiatr podleci i ani się spostrzeze, jąk wszyćko gotowe. Ani to biedactwo nie wie, skąd i jak się to wszyćko wzięło. Co inksego z chłopami! Kuzdy z nas ubierze portasy, nogawki wsadzi do cholewy, u góry snurkiem je dobrze do brzucha przyciśnie, to i ni ma się do niego którędy zadne niescęście dostać. I latego tez jak świat światem, to ino raz był taki wypadek, ze się chłopu dzieucha urodziła bez jego woli i przycyny. Ale było to jesce w raju, to juz ludzie o tem zabacyli.

Dopiero teraz mnie zdarzył się drugi taki wypadek. W samego pryma aprilisa przychodzi do mnie liściarz i oddaje mi pakunecek. Uciesyłem się okrutnie, bo myślałem, ze we wnątrzu będzie štync kiełbasy, to choć tam święty post, toby się ją gdzie wiecorem po omacku do brzusyska wsunęło. Poniezusby nie widział, toby ta moze i grzychu nie było. Rozwijam cemduchu papirza z pudełka, przecinam snurki i ocom własnęm nie chcę wierzyć!... W pudełecku leży se taka maluśka dzieuska, poowijana aligancko w pieluski, a przy niej złociak i takie pisanie:

„Kiej się Maciuś nie ches zenić, musimy ci los odmienić!... Jest tu jedna szelma taka, posyła ci dziś pędraka. Był to prezent na Macieja, lecz zawiodła ta nadzieja: bociany się nie spieszyły i zapóźno tu przybyły... Ładny pędrak!... Zdrowiusieńki, bo czerwony... Tłuściusieńki. Będzie Maciuś teraz bawił i nie będzie tyle prawił; zapomni trochę o babach, o ich brakach i powabach. Musi go dobrze wychować, na następcę hadukować, by na gazdę znów się nadał, w „Roli" prawdę wszystkim gadał".

Opatrzność Boska nadewszystko, powiadają nieraz jegomość w kościele, a tak ono to i prawda jest. Anim razu Pana Jezusa o pędraka nie prosił, ani wiem, co się to robi, aby mieć takiego brzdąca, a tu najniespodziewaniej jest i to jesce jaki! No a jest, to jest i trzeba z nim wszyćko robić, co się w takich wypadkach robi. Trza go ochrzcić, zapisać w mentryki i wychować na porządnego obywatela, aby nie był w przeszłości komunistą, złodziejem lub posłem. Ale zapisanie do mentryk to nie wielka rzec, bo to potrafi nawet ksiądz wikary bez pomocy probosca, ale trzeba mu przecie powiedzieć nie ino imię ojca, ale i matki, zeby kuzdemu było wiadomo, ze nie wypadł cielęciu z pod ogona, ale ma swoich rodzicieli, jak i wszyscy inksi obywatele z Psiej Wólki. A ze ja jesce nigdy ni miałem do cynienia z takiemi przysyłanemi poctą dzieckami, więc pytam się liściarza, co i jak? A on patrzy godzinę na papir, patrzy drugą i tak powiada, ze packę te wysłały stałe Cytelnicki „Roli" z Krzesowic. Ocywiście zrozumiałem odrazu, bom przecie nie głupi i pamiętam, ze już niejedno pisanie dostawałem od štyrech Krzesowicanek, latego nie trza mi było gadać, ze i ten pędrak nie od kogo innego ino od nich. Uciesyłem się bardzo, gdyz miałem la jegomości do zapisania niejedną, ale štyry matki!... Ale moją uciechę zepsuli zaraz gospodyni, bo powiadają:

— Oj Maciek, Maciek! Tyś chyba na ten świat nie głową, ale nogami przysedł. W nogach, jak potrza, to mas talent, ale w głowie ani za grosa rozumu! A cyześ ty słysał kiedy, zeby dziecko miało štyry matki?

Co prawda, to nie słysałem. Bo ze cworo dzieci ma jednego ojca i jedną matkę, to przecie wiadomo. A casem zdarza się nawet, ze jeden bachór ma štyrech i więcej ojców, ale zeby jedno i to samo dziecko miało juz nie štyry, ale dwie nawet matki, to tego jesce nie bywało. No tak, ale i kolei dawniej nie było i samolotów nie było i radjów nie było, a teraz są. Dziwili się z początku tem wszyćkiem nowościom ludzie i powiadali, ze się to wszyćko nie z Panem Bogiem dzieje, a teraz się nie dziwią, ale kolejami jechają, samolotami latają, a radjami gadają i wszyćko jest w porządku. To tez i tem štyrem matkom jednego mojego dziecka moze się trochę jegomość podziwują, a potem pomyślą se, ze to taki nowy wynalazek i w mentryki je zapisą. Gorzej będzie, jak się spytają o wiek i urodę tych wszyćkich matek mojego dziecka. I cóże ja jem niescęśliwy powiem, kiedy nigdy jesce w Krzesowicach nie byłem i zadnej z matek mojego dziecka nie widziałem!

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Palestyna V.

Jednym z najstarszych kościołów w Palestynie prawdopodobnie jest kościół Narodzenia w Betleem. Wejście do tego kościola jest niskie, bowynoszące zaledwie półtora metra tak, że, wchodząc, trzeba się pochylić, aby nie uderzyć głową o sklepienie. Stoi on na miejscu, gdzie była szopka, w której narodził się Pan Jezus. Po wąskich, ciemnych schodach wchodzi się do świątyni. Tu znajduje się wydrążona w skale grota długości 10 metrów, a szerokości 3 metry i takiejże wysokości. Robi to wrażenie dawnej stajenki i, jak utrzymują, jest dokładnie w tem samem miejscu, gdzie ta stajenka stała przed wiekami. Między obu wejściami do owej groty znajduje się w ścianie wydrążenie, a w niem sam żłób kamienny, a na nim ołtarz. Nad ołtarzem widnieje srebrzysta gwiazda, a nad nią napis: „Hic de virgine Maria Jezus Christus natus est". (Tu z Panny Marji narodził się Jezus Chrystus).



Kościół Narodzenia w Betleem.
Klisza z dzieła Dr Harbuta p.t. „Po prochy gen. Bema".

Niestety, w kościele tym nie masz tego uroczystego skupienia się i nabożeństwa, jakie w nim być powinno. Oto, co opowiada J. St. Harbut w swej książce p. t. „Po prochy generała Bema": „W pięknym tym kościele szczególny uderzył mnie widok. Nawa i miejsca pod ścianami powoli zapełniły się pobożnymi, w wielkiej części Arabami, przybywającymi tutaj w fezach na głowie i kobietami, urządzającemi sobie tu z boku wśród gwaru na swych tłumokach obozowisko. Dzieci arabskie uganiają w fezach na głowie po kościele i za filarami bawią się w chowanego. Ksiądz grecki, boci mają kościół w swem posiadaniu, zdejmuje jednemu fez z głowy, lecz drugi go księdzu wyrywa, ksiądz drepce za nimi, oni jeszcze silniej zaciskają fezy na głowy, chowając się za filarami, to znów z poza nich wyglądają. Księdzu przybywa drugi duchowny z pomocą, ale obaj wreszcie, wymachując z rezygnacją ręką, ustępują z pola walki, dając chłopcom za wygraną. Z jednej i drugiej strony wejścia do groty stoją na straży żandarm arabski i żołnierz angielski. Straż ma na celu utrzymanie porządku nietylko wśród pobożnych, ale nawet wśród duchownych, różnych wyznań, którzy o lada drobnostkę, o prawo wcześniejszego odprawiania nabożeństwa



Pracownia perłowej macicy w Betleem.

lub odprawiania go z większą uroczystością, nieraz staczali tu bójki i to krwawe. Kroniki notują nawet wypadki zabójstwa, w tem zabicia dwóch Ojców Franciszkanów, nie mówiąc już o wypadkach poważnych poranień. Do największych zajść przychodziło dotąd w czasie świąt Bożego Narodzenia. Popi żalą się, że z powodu swych warkoczy są słabszymi w walce, przeciwnicy bowiem, chwytając ich ręką za warkocz, mogą łatwo wziąć górę.

Oto, co się dzieje w tej świątyni, która powinna być miejscem największego skupienia, boć przecie tu rozpoczęło się wielkie odkupienie ludzkości z mocy szatana. Ale kultura nie zapanowała tam jeszcze do tego stopnia, aby wpoić w serca ludzkie pełne poszanowanie dla miejsc świętych.

Podobiznę kościoła Narodzenia, o którym mówiliśmy powyżej, widzimy na naszym pierwszym obrazku. Jak widzimy, jest to gmach duży, a otaczają go silne, obronne mury, które miały go zabezpieczać w dawniejszych czasach od wszelkich napadów nieprzyjacielskich. Na drugim obrazku widzimy scenę z życia obecnych mieszkańców Betleem. Jest tu rodzina arabska, zajmująca się wyrobem perłowej macicy. Widzimy tu oryginalne stroje arabskie, jak również narzędzia, którymi Arabowie przy swej pracy się posługują. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

— A ciągle jesteś przekonany, że wówczas umyślnie podjechał pod parkan ogrodowy?

— Przysiągłbym na to kumie.

— I widział ją?

— Jak ona jego!

— A ten obcy przybłęda bawi ciągle we dworze?

— Ciągle i rozgospodarował się nawet na piękne.

— To źle — mruknął z cicha maziarz.

— Musisz się widzieć z nim Kostju.

— Z tym przybłędą?

— Nie, z nim samym.

— Dobrze kumie.

— Powiesz mu wyraźnie, że nie szanować woli swego nieboszczyka dobrodzieja, nie zgadza się poprostu z honorem i sumieniem uczciwego człowieka.

— Uczynię, jak każesz.

— Naprzód jednak z pierwszym brzaskiem dnia odwieziesz ją napowrót.

— A teraz pójdź i przyładuj mój wóz do podróży.

Kost' wyszedł w milczeniu.

Maziarz kilka razy przeszedł się po izbie. Potem przystąpił do przybitej do ściany półki, wziął małą łojową świecę do rąk i z cicha na palcach wszedł do drugiej izby. Stamtąd małe drzwiczki prowadziły na lewo. Maziarz odchylił je z cicha i wszedł do trzeciej wąskiej i ciemnej izby, urządzonej jednak o wiele wytworniej niż reszta domu. Maziarz cichutko przysunął się do jednego kąta, gdzie wyzierało łóżko z białem jak śnieg posłaniem. Dopiero bliżej przysuwając świecę, można było śród śnieżnej bieli rozróżnić bielszą jeszcze niemal postać kobiecą.

Leżała lekko osłoniona, w głębokim pogrążona śnie. Gdyby nie łagodny oddech, który z różanych powiewając ust, kołysał cokolwiek rozpuszczone po obnażonej piersi pukle włosów, trudnoby przyszło uwierzyć, że postać ta należy do istoty żyjącej. Wyglądała raczej na jakieś wyciosane z marmuru arcydzieło mistrza, w tak cudowną harmonję spływały jej rysy, tak idealnie szlachetnym wyrazem tchnęło jej oblicze.

Maziarz kilka chwil z niemem upodobaniem przyglądał się uśpionej dziewicy; nagle wstrząsł się, westchnął z głębi piersi i przychyliwszy się bliżej, złożył lekki acz gorący pocałunek na czole dziewczęcia.

Śpiąca uśmiechnęła się we śnie, jakgdyby ją właśnie w tej chwili jakieś przyjemne łudziło widzenie.

Maziarz, obzierając się jeszcze raz jeden i drugi ku łóżku, powrócił do pierwszej izby.

Kost' Bulij czekał już gotowy na dalsze rozkazy.

— Zaprzągłeś?

— Wóz stoi już za bramą.

— Pójdźmy więc — rzekł, rzucając tęskne spojrzenie ku drzwiom drugiej izby.

— I kiedyż was się znowu spodziewać, kumie? — zapytał Kost nieśmiało.

— Sam nie wiem, jak mi wypadnie... A zresztą — dodał z rezygnacją, wzruszając ramionami — któż wie, co się ze mną stać może.

Kost wzdrygnął się.

— Nie zechcecie przecież nie widzieć jej więcej? — wyszepnął jakby z wyrzutem.

Kum Dmytro westchnął.

— Na wszystko się przygotowałem — mruknął po chwili.

— Gdyby się wam jednak co złego przytrafiło, od kogóż się dowiemy?

— Od księdza Wikowskiego.

— A gdyby... — wyszepnął ledwie zrozumiale stary kozak i głowę z jakąś trwogą tajemną pochylił na piersi, nie kończąc zapytania.

— W takim razie wiesz już, jak sobie postąpić — odpowiedział maziarz z stanowczym naciskiem.

— Nie zmieniacie w niczem waszej woli?

— W niczem zgoła.

Kost chwycił go za kolana.

— A więc bywajcie zdrowi, niech was Bóg prowadzi — wyszepnął z głębokiem wzruszeniem.

— Bądź zdrów, Kostiu — odpowiedział maziarz wzruszonym głosem i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Kost z uczuciem i uszanowaniem ucałował podaną rękę, a potem prędko obrócił się na bok, jakby swe gwałtowne chciał ukryć rozrzewnienie. Maziarz wskoczył na swój wózek i chwycił za batog.

— Wracaj do chaty i pamiętaj dobrze o każdem poleceniu twego nieboszczyka starościca! — zawołał jeszcze półgłosem na Kostia i zaciął konia.

X.

Damazy Czorgut na nowem stanowisku.

Nasz dobry znajomy, pan Damazy Czorgut, lubo dopiero dzień jeden bawi w gościnie u swego świeżo odszukanego przyjaciela, zmienił się do niepoznania w całej swej postaci i oswoił się już zupełnie z swem nowem położeniem. Lichy i obszarpany ubiór wczorajszy zastąpiły wytworne suknie Juljusza, które acz na zupełnie inną skrojone miarę, musiały przecież jako tako zastosować się do figury nowego właściciela.

Juljusz nie powrócił jeszcze ze swej wizyty do Orkizowa, a pan Damazy siedzi najwygodniej rozparty na sofie w jego pokoju.



Przysuwając świecę, mógł rozróżnić postać kobiecą.

— Czart wie — mruknął po chwili półgłosem — jakie ja tu mam zajmować stanowisko. Juści prostym pieczeniarzem być nie mogę, muszę koniecznie poddać się jakimś obowiązkom. Ale jakim? w tem sęk... — Jak mię naprzykład mają tytułować tacy Gągolewscy, Girgilewicze?... Na wszelki wypadek muszę stać się użytecznym Gracchusowi... Najpierw zbadam tajemnicę tego zaklętego dworu, a powtóre...

Ten z cicha prowadzony monolog przerwało nagłe wejście lokaja Filipa, który na palcach wsunął się do pokoju i z jakąś nietajoną trwogą ukłonił się Katilinie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozpacz Judasza.

Od domostwa Barabasza, wlokła się postać Judasza. Stawał co chwila na drodze, wyzywając Pana srodze:

— Sprzedałem człeka drogiego, alem mało wziął za niego. Wart był więcej niż trzydzieści, wart był, ile wór ten zmieści. Oszukali mnie kapłani, opętali jak szatani. Dziś mną wszyscy pogardzili i na hańbę wystawili. Dziś mnie nie chcą widzieć przecie i wyrzucili jak śmiecie. Odegnali mnie od proga... Precz! boś ty zaprzedał Boga.

Wielka go gorączka piekła, jakby był z otchłani piekła; pragnienie mu dokuczało, pić mu się wody zachciało.

I tak wołał:

— Wody, wody, choć odrobinę ochłody!

Naraz osłabł, padł na ziemię, przeklinając całe plemię.

— Gdzie ja jestem? Nie poznaję, ale mi się tak wydaje, choć to noc jest, a mrok taki, czyto nie jest ogród jaki?

Krzyknął głośno przerażony, jak zwierz dziki poraniony:

— Dobrze ten ogród poznaję. Jak się tu strasznie wydaje. Tum Jezusa pocałował, a tłum go wnet ukrzyżował.

Wybiegł szalony z ogrodu, wołając, znów:

— Chłodu, chłodu! Wietrze! wyrwij moją duszę, ja chcę umrzeć, umrzeć muszę! Wietrze! owiej moje skronie, moje piersi, moje dłonie!

W rozpaczy błądził do rana i wzywał z piekła szatana. Był na siebie zły i wściekły, wyrzuty go bardzo piekły. W pustem polu studnia była, palma ją warkoczem kryła. W tej to studni woda zdrowa, poświęcona Jabóbowa. Poznał Judasz ją nareszcie.

— Studnia!

— Biegłszy, zaciął pięście, oparł się o cembrowinę... Czekał chwilę na dziewczynę, która z dzbankiem szła po wodę. Miała zdrowie i urodę.

— Chodź dziewczyno, daj mi wody. Pragnę!... piecze... chcę ochłody... Pragnę — powtórzył raz jeszcze.

Dziewczyną szarpnęły dreszcze.

— I ty pragniesz? — mówi śmiało. — Wody ci się pić zachciało? Prorok pragnął, to nie dali, jeszcze Mu naurągali. Tyś zdradziciel tak dobrego, Jezusa i Pana mego.

Judasz milczał, głowę skłonił i na ziemię łzę uronił.

Zbliżyła się krok ku niemu, dała wody spragnionemu. Skropiła mu głowę, skronie, polała wody na dłonie. Usiadł Judasz w drzewa cieniu, nie dając folgi cierpieniu.

— Jam niegodny żyć na ziemi, między ludźmi tak dobremi, jak to dziewczę, anioł święty. A jam zbójca, łotr przeklęty. Nie zaznam już pocieszenia, nie znajdę nigdzie wytchnienia.

Tu na wzgórku drzewo stało, smutnie gałązkami chwiało; a była to sucha figa. Judasz się zerwał jak fryga, biegł tam, jakby opętany, jakby przez djabły ścigany. Zdjął ze siebie płaszcz czerwony, niby plamą krwi zbroczony. Na ten płaszcz rzucił pieniądze, gdyż go teraz piekły srodze. W wielkim pośpiechu i znoju, odwiązał sznury zawoju. Poprzez gałąź sznur przewiesił...

Tak się ten zdrajca powiesił.

Maryśka z Kamionki.

BOLESŁAW DEJWOREK.

Maciek i ludzie.

Nowela.

I.

Miał Maciek przeszło trzydzieści lat, miał i gospodarstwo niebyle jakie, co mu w spadku po nieboszczyku ojcu ostało, miał i matkę tęgą i ciętą kobietę, co wszystkiem i Maćkiem rządzić, jako chciała, umiała i potrafiła. Miał wszystko, nawet u ludzi we swojej wsi opinję „niemądrego" (tak delikatnie, przez grzeczność), lub zgoła głupiego.

Wiedział o tem Maciek aż nadto dobrze, że go tak ludzie nazywają, bo mu to raz albo dwa razy ludzie i matka, jak się rozzłościli, gadali? Ale go ta to i mało przejmowało. Ano juści, może ta i nawet, myślał se Maciek, chociaż na amen temu nie wierzył.

Rosły i silny był z niego chłop i napozór taki miał wygląd i rozum, jak wszyscy, ino że był zanadto dobry, i żeby nie matka, toby wszystko w mig rozdał. Taki był, że o coby mu kto nie mówił, to mu był gotów wygodzić.

A co dziwne, to to, że się gniewać nie umiał, ino zawdy się do ludzi, choćby mu kto i na złość zrobił, i skrzywdził, on nic ino się szczerze i dobrotliwie uśmiechał. I tak se go ludzie spopadli, że go nijak nie nazywali, ani mówili o nim, ino Maciek niemądry, albo zgoła głupi.

Maciek zaś, choć w to niebardzo wierzył, ale się nieraz zastanawiał — czy też nie jest naprawdę głupi? Ino, że nie mógł wymedytować.

Ale go najgorzej to zaczęło korcić, że mu od pewnego czasu ludzie nie dawali spokoju, ino wszyscy jakby się zmówili, coby go kto nie spotkał, to zawdy pytał:

— A co Maciek, nie żenisz się to? Kiedyż będzie twoje wesele?

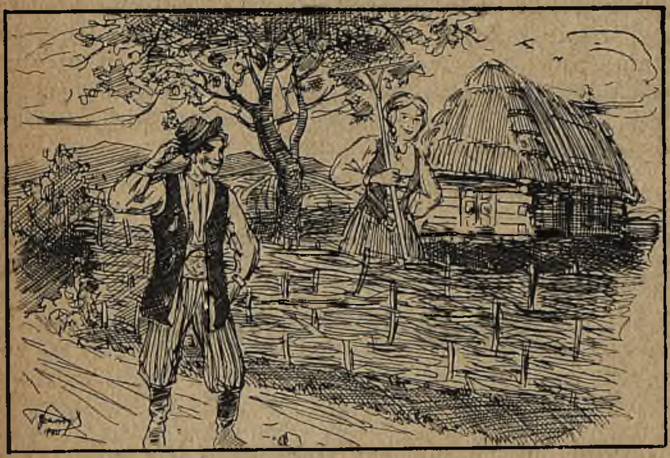
Maciek zrazu odpowiadał, że pojutrze, później, że 30 lutego i uśmiechał się po swojemu, ale po pewnym czasie zaczął myśleć:

— Musi cosik w tem być, co mnie wszyscy o oną żeniaczkę napastują. Albo mi już czas ogromny, albo jaka dzieucha o mnie myśli, albom chyba naprawdę głupi.

— Jußci czas, toć jest, bo tam Kasper, co my oba razem na losy stawali, już chłopaka ma co do szkoły chodzi, a Walkowemu weselu będzie tyle, co mojemu siwkowi, to prawie cztery lata na święty Wojciech. A i młodszych się też już sporo pożeniło — myślał raz Maciek w kościele, rozglądając się wokoło po znajomych.

Aż wreszcie napotkał oczyma urodziwą twarzyczkę Baśki Cyprynowej i ni stąd, ni zowąd, przyszło mu do głowy:

— Bestyjo, psia bita — Boże odpuść — ale to świarno dzieucha — hm... Z taką, toby się nie żal było i ożenić nawet!



I dalejże, jak umiał, i jak mógł, stroić zaloty do Baśki.

Baśka, choć innych miała dość, rada niby była niezmiernie z Maćkowych zalotów, boć on jeszcze do żadnej się nie umizgał, ale jak zmiarkowała, że Maciek nie żartuje, a ludziska poczynają się śmiać i cośnieco rozpowiadać — rozmówiła się z chłopem krótko a węzłowato, że go nie chce — i już. Powiedziała, że to i cięta była w języku, żeby poszedł do trzystu, i nawydziwiała się nad biednym, ile wlazło. Maciek uśmiechał się ino — ale napróżno, choć i cukierków i sznurek korali kupił — Baśka jak nie, tak nie, nawet gwarzyć nie chciała.

Zaczął chłop srodze nad swoim losem medytować przez cały post i wiosnę. Żenić się czuł, że mu czas — i potrzeba. Matka już starzy i podupadli — gadać, no tó ta jeszcze, jeszcze, ale robić już niebardzo mogą, zdałaby się im wyręka, a i jemu, Maćkowi, też tak jakosi było teskliwie na sumieniu, że nie wiedział, co mu jest, czy chory był, czy go ino tak coś ozbierało, ale se nieraz miejsca nie mógł znaleźć. Z ludźmi wolał się nie stykać, bo się okrutnie z niego precz naśmiewali, wolał se tedy siedzieć w chałupie i przemyśliwać, ano, o czemżeby, ino o swojej żeniaczce.

Jußci markotno mu było z porazu, i nieraz se w kościele, albo na jarmarku za Basią spozierał, ale skoro spenetrował, że i ona i wszyćkie dzieuchy się ino z tego śmieją, tak się zawziął w sobie, i prawie że nie zgniewał poraz pierwszy w życiu, że postanowił:

— Cekajta psiekrwie, śmijta się z Maćka, śmijta, choćby niejedna miała ochotę zostać gospodynią na jego zagrodzie — kiejeście takie, pójdę na dziesiątą wieś, a do wos żadnej ani nie spożrę, — cekajta!...

Przez resztę zimy i wiosnę pracował od świtu do nocy, choć się martwił — robić, a co najważniejsze jeść mógł — nic mu nie było. Żyto wymłócił, kłoć wyrobił na snopki, chałupę całuśką pięknie nową strzechą poszył, przywiózł z lasu kilka razy i sztachety osikowe zamiast płotu koło ogródka wyrychtował, i lasę nową zrobił, dróżkę do pola wysadził wiśniami, słowem porządki wkoło galante były, aż się ludzie cudowali!

Aż raz w sobotę, ni stąd ni zowąd zerwał się Maciek z łóżka raźno i wesoło, choć dotąd zawdy markotny bywał, rańsze porządki koło gospodarstwa obrobił w mig i powiada do matki:

— Dajcie-no, matko, świeżą koszulę i lepszy kabat z komory.

— A to na co? Przecie dzisiaj dzień powszedni, nie niedziela.

— No wiem, ale zawdy między ludzi trza się porządniej ogarnąć, jakże tak? Dajcie, a prędko.

— A kadyz ty pódzies?

— Cie, a póde kady w świat posukać se kobiety...

I zaczął ostrzyć na szerokim pasie brzytwę zamaszyście, potem się ogolił starannie, gładziutko, potem dokumentnie, jak na wielkie święto. Matka, kiwając głową, dostała mu ze skrzyni białe obleczenie i portki pasiate, a on nowe buty wyszwaksowane do śkląca świeżą słomą wysłane ozuł, włosy wyczesał, kamizelę, kabat i kapelusz wdział i — był do drogi prawie gotów.

— A zawińcie ta na drogę trochę chleba — mówił do matki jeszcze, dostając krzywą samorodną laskę z za łóżka i z za obraza trochę pieniędzy.

Matka nie wiedziała, co myśleć. Poraz pierwszy Maciek tak mówił, spełniała wszystko, o co prosił, jeszcze mu i parę złotych w rożek chusteczki zawiązała i Koronkę dała, coby idąc nie mitrężył, a Maciek kozik zaostrzył na glinianym garnku, potem matkę pocałował krótko i prędko w spracowaną rękę, upomniał, coby się o niego nie troszczyła, a o wszystkiem miała baczenie. Przeżegnawszy się wodą święconą z kropielniczki u drzwi wiszącej — poszedł.

Poszedł drogą przez wieś, a dziwnie lekko było mu na duszy. Był czas prawie do śniadania, a dzień był słoneczny, pogodny, ciepły — przepiękny letni czerwcowy dzień. Ludzie poobsiadali stoły w sieni, a nierzadko i przed chałupą pod okapem lub na ganku na świeżem powietrzu pożywano jakie kto miał dary Boże. A co kto Maćka spostrzegł, okrutnie się dziwował, że to chłop był godnie, jak we większe święto zestrojony tak, że nawet w tym dziwowisku zapomniano zaczepiać go pytaniem, dokąd idzie, lub o wesele.

A Maciek pod krzyżem, co pieczę miał nad rozdrożem, kapelusza pięknie uchylił, westchnął naboż-

nie i skręcił w lewo. Koło Cyprynowej chałupy prawie przechodził. Basia z motyką cosi koło kwiatków w ogródku robiła — sama jak ten kwiatek. Dzień dobry jej rzekł, i szczęścia jej w pracy życzył, ale się nie zatrzymał wcale, ino se dalej szedł, ubrany kieby na wesele.

— Oho — pomyślała Baśka — na zaloty gdzieś idzie, czy już na zapowiedzi? Ani się spojrzał na mnie!

I markotnie się dziewusze zrobiło, bo prawdę rzekłszy, podobał się trochę i Maciek i gospodarstwo jego — ino, że to ludzkie gadanie.

Maciek, idąc, myślał sobie:

— To ci, psiawiara, zdatna dziewucha, żeby mi jeno gdzie taką Pan Jezus nagodził, jużbym się bez niczego ożenił.

Po chwili dodał markotnie:

— Coby mię ino chciała!...

Przechodził właśnie koło swojego pola i cieszył się, bo się koniczyna śwarnie po wczorajszym deszczu opuszczała, a i żyto też wyrosło, jak las wysokie i jak trzcina proste.

— Hej, coby mię ino chciała...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

Nawożenie łąk.

Że gospodarze nasi dbają o rolę, to się zaprzeczyć nie da. Każdy z nich zbiera przez cały rok nawóz, aby go jak najwięcej wywieźć na pole, gdy na to nadejdzie odpowiednia pora. Ale i to wszystkim dobrze wiadomo, że nawet rozsądni rolnicy o łąki mało dbają i rzadko je nawozem zasilają. A są i tacy, którzy jeszcze nigdy o nawozie na łąki nie pomyśleli. Każdy jednak chciałby mieć jak najwięcej siana i to siana dobrego. A tu przecie z próżnego i Salomon nie naleje. Kto chce, aby mu łąka dała zbiór dobry, powinien ją przedtem odpowiednio nakarmić.

Najlepszym nawozem na łąki jest starannie urabiany kompost (w każdem gospodarstwie bywa masę materjału, który na kompost zbierać się powinno. Taka gromada to prawdziwa „Skarbona“ w gospodarstwie). Wywozi go się przeważnie w jesieni, równo rozrzuca, a skutek z tego nawożenia bywa znakomity. Lecz również nieocenionymi nawozami są sztuczne nawozy: tomasówka i kainit, które w ilościach po 2 i 3—4 ctr. na morgę w wysokim stopniu na rozrost motylkowych roślinek wpływają. Ta wskazówka musi wystarczyć. Albowiem niemożliwem jest od stolika redakcyjnego podać, czy powyższa dawka zawsze wystarczy, czy ona nie będzie, przy corocznem zasilaniu, z czasem za wielką.

Nie ulega wątpliwości, że na tej i owej łące przyda się mierna dawka także azotowego nawozu jak saletry chilijskiej z jakie pół centnara na morgę. Mianowicie w tym razie, jeżeli motylkowe (koniczynki, wyczki) „biorą górę“ nad trawami. Bez prób i tutaj się nie obędzie.

Łąk mamy w kraju naszym dużo. Ogromne ilości doskonałego siana (które jest jak wiadomo nieocenioną bo pożywną i zdrową paszą) możnaby otrzymywać, a z tem podnieść chów bydła i t. d., gdyby łąki należycie pielęgnowano. Do zasilania łąk jest obecnie stosowna pora, a więc pamiętajmy o łąkach!

Kilka rad przy nasadzaniu kwok.

Nadszedł czas nasadzania drobiu. Dlatego dobrze jest przypomnieć sobie trochę wiadomości, które zapomniane mogą spowodować dużo zmartwień i niepowodzeń w gospodarstwie kobiecem.

Nasadzając kwokę, trzeba wybierać świeże i ładne jaja, pochodzące od kur zdrowych, silnych, które odznaczają się dużą niosnością.

Na nasiadki wybierać kury raczej tłustsze, posiadające duże upierzenie, zdrowe i spokojne. Nie należy nasadzać kur płochliwych, gdyż ryzykuje się na potłuczenie jaj. Nie należy też nasadzać kur, cierpiących na wapniak nóg, bo choroba ta bardzo jest zaraźliwą dla kurcząt.

Nasadzać pod kurę tylko taką ilość jaj, ile kwoka wygodnie obsiąść może, inaczej dużo jaj może nie być przykrytych i co zatem idzie, niewylęgniętych, przytem kura, schodząc i wchodząc do gniazda — może potłuc jajka.

Gniazda powinny być bardzo czyste i nie zawierać pasorzytów. Aby tych ostatnich uniknąć, dobrze jest posypać podściółkę proszkiem na owady. Samą kurę nasiadkę trzeba dobrze oczyścić z pcheł i innych pasorzytów. Do wysłania gniazda należy używać siana lub krótkiej słomy. Trzeba dobrze uważać, aby podściółka nie była spleśniała lub stęchnięta, gdyż to sprzyja rozmnażaniu się robactwa, a co najważniejsze ma wpływ na wylęganie, gdyż może spowodować zamarcie zarodków w jajach.

Nie trzeba nigdy przykrywać kwoki workiem albo koszem; kura, siedząca na jajach, powinna mieć dużo powietrza i swobodę schodzenia z jaj w razie potrzeby.

Zdarza się jednak, że kura dobrowolnie z jaj nie schodzi, wtenczas należy ją ostrożnie zdjąć z gniazda i wynieść na podwórze, ażeby się najadła, wyprostowała członki, wyczyściła i wytarzała, inaczej zanieczyści gniazdo.

Kurze, siedzącej na jajkach, nie trzeba dawać miękkiej paszy, ani innego jedzenia, które powoduje rozwolnienie. Trzeba jej dawać ziarna owsa, jęczmienia, a najlepiej kukurydzy. Czystą i świeżą wodę. Podczas wysiadywania sprawdzać czystość jaj i gniazda, jeśli zachodzi potrzeba, zmienić słomę i powycierać brudne jaja. Trzeba to jednak robić prędko i ostrożnie, aby nie pozaziębiać i nie pobić jajek. Siódmego dnia po nasadzeniu jaja przejrzeć i niezalężone usunąć.

Poradnik lekarski.

Nerwoból (newralgja, bóle nerwowe). Choroba ta powstaje wskutek przeziębienia, uderzenia, upadku, próchnienia zębów, chorób nosa, ucha, oczu, przeciągu. Objawy: Bardzo silny ból wzdłuż całego przebiegu nerwu, lub w jednym punkcie, najczęściej na głowie, np. ponad okiem, wzdłuż szczęki i t. p. Leczenie: Naparzanie, smarowanie terpentyną, gorczycznik, plaster hiszpański, okłady gorące. Pić miętę, rozmaryn i kwiat lipowy.

Nerkowe kamienie. Przyczyny: nadużycie alkoholu, kwaśnego wina, za dużych ilości mięsa, otyłości, podagry, siedzącego życia. Objawy: napady silnych bólów w okolicy nerek, dreszcze, gorączka, poty, niekiedy krew w moczu, drgawki. Bóle te ustępują po przedostaniu się kamyczków przez przewody nerkowe. Leczenie: dużo płynów, mleko, maślanka, borówki, poziomki, ogórki, sałata. Podczas bólu gorące okłady, lub kąpiele ze słomy owsianej lub skrzypu. Herbata z skrzypu, jałowcu.

KRONIKA.

Od Administracji. Dzisiejszy numer „Roli“ posyłamy jeszcze wszystkim Prenumeratorom kwartalnym, którzy w I szym kwartale „Rolę“ prenumerowali; następny numer otrzymają już tylko ci, którzy prenumeratę na czas nadeślą. Prosimy przeto o pośpiech.

„Rola“ i w następnych kwartałach będzie bardzo zajmująca, toteż wszystkich Prenumeratorów kwartalnych prosimy, aby prenumeraty sobie nie przerywali i nadal ją corychlej odnowili.

Jakie będzie lato? Pewna paryska jasnowidząca, jest prorokinią, która wsławiła się tem, że przepowiednie jej przeważnie się sprawdzają. 1 stycznia 1930r. przepowiedziała koniec jednej dyktatury w Europie, śmierć wybitnego polityka i powodzie w południowej Francji. Przepowiednie te sprawdziły się, Obecnie wróżka paryska zdradza tajemnice pogody letniej w 1930 r. i ostrzega tych, którzy pragnęliby się pławić w słońcu, przed nazbyt wczesnem braniem urlopu. Wiosna zapowiada się niezbyt słonecznie, a lipiec ma być zdecydowanie deszczowy. Dopiero na sierpień i wrzesień pani owa, która przepowiedziała śmierć Focha i Clemenceau, obiecuje pogodę.

Wybory gminne na Górnym Śląsku. I znowu na Górnym Śląsku, uważanym do niedawna przez świat za kraj niemiecki, odnieśliśmy piękne zwycięstwo. W ubiegłą niedzielę odbyły się tam w trzech miastach i 28 gminach wiejskich wybory do rad gminnych. Wynik wyborów przedstawia się następująco: W Mikołowie Polacy uzyskali 13 mandatów, Niemcy 11. Poprzednio Polacy mieli 10, Niemcy 14. W Mysłowicach Polacy uzyskali 20 mandatów, Niemcy 10. Poprzednio Polacy mieli 16, Niemcy 14. W Tarnowskich Górach Polacy uzyskali 16 mandatów, Niemcy 14. Poprzednio Polacy mieli 13, Niemcy 17. Jeszcze lepszy wynik wyborów dla nas okazał się w gminach wiejskich. I tak w powiecie katowickim wybierano w 7 gminach. W roku 1926 na 99 mandatów mieli Polacy 52, Niemcy 37, zaś 10 mandatów przypadło listom mieszanym polsko-niemieckim. Obecnie Polacy zyskali 69 mandatów, zaś Niemcy tylko 30. W powiecie lublinieckim wybierano w 4 gminach. W r. 1926 w gminach tych Niemcy uzyskali 22 radnych, Polacy tylko 14. Obecnie Polacy mają 32 radnych, a Niemcy tylko w jednej gminie 4. W powiecie pszczyńskim wybierano w 3 gminach. Wszystkie 39 mandatów uzyskali Polacy. W powiecie rybnickim wybierano w 13 gminach. Polacy uzyskali 116 mandatów, Niemcy 4. W roku 1926 mieli Niemcy aż 32 radnych. W powiecie świętochłowickim wybierano tylko w gminie Lipiny. Dotychczas mieli tam Niemcy 14 radnych, Polacy 10. Obecnie przeciwnie: Polacy uzyskali 14 mandatów, a Niemcy 10. Jak z powyższego wynika, na 402 radnych w gminach, w których dokonano wyborów, Polacy będą mieli 319 radnych, zaś Niemcy 83. Największą ilość radnych wybrały stronnictwa popierające rząd, bo 157. Drugie miejsce zajmuje grupa Korfantego z liczbą radnych 78. Narodowa Partja Robotnicza przeprowadziła 31 radnych, polscy socjaliści 27, Jedność robotnicza 3, zaś 23 radnych nie należy do żadnego stronnictwa.

Tragiczne zajście w Kaczanówce. Z Kaczanówki w powiecie skałackim donoszą o tragicznem zajściu, jakie tam miało miejsce w ubiegłym tygodniu. Oto tamtejszy wikary, ks. Wróbel, będąc nerwowo chory, otrzymał urlop i polecenie wyjazdu na kurację do Francji. Ale ksiądz nie ucieszył się tem zarządzeniem, lecz żalił się do parafjan, iż dzieje się to wbrew jego woli i że nie ma ochoty z Kaczanówki wyjeżdżać. Parafjanie oświadczyli mu, że wobec tego nie puszczą go z parafji. I przyrzeczenia dotrzymali, bo kiedy 31 marca przyjechał do Kaczanówki nowy wikary, zebrał się tłum ludzi, liczący do 2.000 osób i zażądał od ruskiego proboszcza, któremu miejscowy proboszcz rzymsko katolicki zostawił klucze od kościoła, wyjeżdżając do Lwowa, wydania tych kluczy. Gdy ks. Wróbel klucze otrzymał, udał się wraz z tłumem ludu do kościoła i tam odprawił nabożeństwo. O zajściach tych zawiadomiono natychmiast starostę ze Skałatu, który też przybył bezzwłocznie do Kaczanówki. Chciał on zebraną pod kościołem ludność uspokoić, ale ta przybrała wobec starosty groźną postawę. Starosta schronił się na posterunek, a ks. Wróbel tymczasem ogłosił parafjonom, że obejmuje władzę w parafji i na czele tłumu ruszył do urzędu gminnego, gdzie złożył z urzędu wójta i całą radę gminną. Następnie podążył pod posterunek policji i polecił tłumowi rozbroić policjantów. Gdy tłum zaatakował kamieniami posterunek policji i zaczął wdzierać się do środka, komendant wezwał napastników do opamiętania się, gdy to jednak nie poskutkowało, policjanci w liczbie ośmiu dali dla postrachu strzały w powietrze. Gdy i to nie odniosło skutku, skierowali salwę w tłum ludzi. Skutki były straszne: padł jeden zabity i dziewięciu rannych, z których trzech wkrótce zmarło. Na widok rannych i zabitych tłum wycofał się i wrócił do kościoła. Tam ks. Wróbel wygłosił do ludności płomienną mowę i zapytał, czy wszyscy gotowi są w jego obronie przelać krew. Gdy parafjanie, nie zdając sobie sprawy, że mają przed sobą chorego człowieka na umyśle, dali takie przyrzeczenie ks. Wróblowi, ten wyjął monstrancję z Przenajświętszym Sakramentem i urządził procesję przez wieś. Pe powrocie procesji rozpoczęły się w kościele modły. Starosta, widząc, że policja nie potrafi opanować sytuacji z powodu swej małej liczby, zawezwał do pomocy wojsko. Gdy to przybyło, otoczono kościół. Nadszedł wieczór. Ludność powoli zaczęła opuszczać kościół, czemu nie przeszkadzano. W kościele na noc pozostało tylko około 250 osób. Dnia 1 kwietnia o 6 rano ks. Wróbel po całonocnych modłach wziął monstrancję i ruszył z procesją z kościoła. Ale u bramy cmentarnej czekała cierpliwie policja i wojsko. Otoczono momentalnie chorego księdza i oddzielono go od tłumu. Ksiądz, widząc się osamotnionym, zrezygnował z bezskutecznego oporu, oddał monstrancję ks. Kalinowskiemu, który zawiadomiony przybył ze Skałatu, jako reprezentant dziekanatu. Zdjęto z nieszczęśliwego kapłana szaty liturgiczne i wywieziono go spokojnie z Kaczanówki. W gminie zapanował spokój. Ks. biskup zasuspendował ks. Wróbla w czynnościach kapłańskich, a kościół kazał zamknąć na czas nieograniczony.

Zbrodnie i kara. Miasteczko Działoszyce w województwie kieleckiem było w tych dniach widownią niezwykle tragicznego splotu zbrodni, kary i nieszczęśliwych wypadków. Przed kilku dniami policjant Stanisław Kopczyński natknął się na dwóch złodziei, którzy nie chcieli się dać ująć i w czasie szamotania się zastrzelili go. Podczas dochodzeń policyjnych dokonano w Działoszycach napadu rabunkowego. Znalezione na miejscu zbrodni łuski rewolwerowe były identyczne ze znalezionemi przy zabitym posterunkowym. Na podstawie rysopisu, podanego przez napadniętych, policja aresztowała Stanisława Woźniaka i Jana Słowika, którzy przyznali się do morderstwa i zeznali, że kryjówką ich był cmentarz żydowski. Policja znalazła istotnie na cmentarzu broń i rzeczy pochodzące z rabunku. Woźniak tymczasem z obawy przed karą powiesił się w areszcie W ten niesamowity krąg zbrodni i kary wciągnięty zo-

stał również handlarz koszernego bitego drobiu Ezrol Rybak, który kupował od Woźniaka i Słowika kradziony i uduszony przez nich drób i sprzedawał dalej jako przez niego przygotowane mięso koszerne. Współwyznawcy Rybaka, dowiedziawszy się o tych przestępstwach rytualnych, udali się do rabina, domagając się wyklęcia pasera, następnie ruszyli do mieszkania Rybaka i policji z trudem tylko udało się go ocalić z rąk podnieconego tłumu. Nie uszedł jednak kary. Klątwa i złorzeczenia współwyznawców popchnęły go do samobójstwa. Poderżnął sobie gardło nożem, którym rzezał drób.

Ugotowane dziecko. W Strzelnie, pow. morski, wydarzył się onegdaj straszny wypadek śmierci. Zajęta gotowaniem w kuchni żona urzędnika kolejowego Czopikowa, nie zauważyła, iż dwuletnia jej córeczka weszła na piec i poczęła się bawić około kotła z wrzątkiem. W pewnej chwili dziecko, straciwszy równowagę, wpadło do wody. Dziecko odwiezione zostało do szpitala, gdzie w strasznych męczarniach umarło.

Z uczty weselnej do więzienia. W Ołomuńcu aresztowano onegdaj rzekomego przemysłowca, Polednika, w czasie uczty weselnej. Wypadek ten wywołał w Ołomuńcu olbrzymią sensację. Polednik okazał się głośnym oszustem matrymonjalnym, który umiał eleganckiemi manierami zdobywać serca kobiet i naciągać je na poważne kwoty. W czasie pierwszego przesłuchania na policji podał Polednik, że zna swoją narzeczoną, Monikę, wdowę po ołomunieckim przemysłowcu, dopiero od czterech miesięcy. Wypłaciła mu 25.000 koron czeskich jako zadatek na posag. Przedstawił się jej jako zarządca dóbr i twierdził, że był w czasie wojny dyrektorem fabryki spirytusu koło Ołomuńca. W rzeczywistości był tam portjerem. Drugą poszkodowaną osobą jest pewna pani z Pragi. Polednik wziął od niej 300.000 koron pod pretekstem zawarcia z nią ślubu. Przyznał się również, że otrzymał od niej samochód. Za otrzymane pieniądze miał kupić majątek ziemski. Polednik twierdzi, że nie umiał gospodarować majątkiem, dlatego zlicytowano go i pieniądze przepadły. Rachunek za przerwaną ucztę weselną wynosi w hotelu Palace 2.000 koron czeskich. Niewiadomo jeszcze, kto to zapłaci, bo Polednik powędrował do więzienia.

Wyprawa 1.000 mężczyzn po żony. Przed kilkoma dniami wyruszyła w drogę morską statkiem „Saturnia" armja młodych Greków, obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, do kraju macierzystego po... żony. Na statku panuje nastrój niezwykle wesoły. Zaledwie „Saturnia" minęła granicę amerykańskich wód terytorjalnych, uformowały się kadry szturmowe, które w oka mgnieniu wydobyły z magazynów zaplombowane skrzynie z winem i innemi wódecznościami i niebawem słychać było brzęk napełnionych puharów. W sali jadalnej okrętu porozwieszano fotografje narzeczonych, na których zdrowie młodzieńcy pili całą noc. Najzabawniejszym jest fakt, że żaden z uczestników tej wyprawy nietylko że nie zna swej przyszłej żony osobiście, ale nawet nie powziął dotąd decyzji na podstawie przesłanych do Ameryki fotografij. Inicjatorzy tej wyprawy zachowują dotąd ścisłą tajemnicę i w tem tkwi właśnie cały urok. Przyczyną całej tej imprezy była skarga młodych Greczynek na brak kandydatów do stanu małżeńskiego. Najzdrowsi i najpiękniejsi chłopcy bowiem przed osiągnięciem pełnoletniości masowo wyjeżdżali w ostatnich latach do Stanów Zjednoczonych, oraz do krajów południowo-amerykańskich. Biadania pozostałych w ojczyźnie dziewcząt wzruszyły wreszcie jednego z dyrektorów grecko amerykańskiej linji okrętowej do tego stopnia, że postanowił pospieszyć z wydatną pomocą kandydatkom do stanu małżeńskiego. Przed kilkoma miesiącami pojawiły się w następstwie tego ogłoszenia w pismach greckich następującej treści: „Dla przebywających zagranicą młodzieńców pochodzenia greckiego w liczbie 1.000 osób poszukuje się młodych, zdrowych i pięknych pań w wieku od lat 18 do 25". W niespełna tydzień zgłosiło się kilka tysięcy młodych Greczynek, chętnych na wyjazd zagranicę. Inicjator jednak zarządził inaczej. Wezwał dziewczęta do nadesłania swych podobizn, wybrał 1.000 kobiet, przesłał je do biura towarzystwa okrętowego w Nowym Jorku i zamieścił analogiczne ogłoszenia treści matrymonjalnej w pismach amerykańskich, z tem jednakże, że męscy kandydaci do stanu małżeńskiego wyjadą na koszt towarzystwa po swe żony do ojczyzny. Od chwili wyruszenia statku w drogę do Grecji panuje wśród kandydatów płci obojga niesłychane zaciekawienie. W Atenach utworzył się specjalny komitet przyjęcia młodzieńców. W myśl programu ustalonego przez komitet, kandydatki do stanu małżeńskiego oczekiwać będą swych przyszłych małżonków już daleko na zatoce w łodziach udekorowanych girlandami, ubrane w śnieżną biel. Po przybyciu do portu udadzą się wspólnie w pochodzie do Aten, gdzie oczekiwać ich będą rodzice i księża. Wzajemne zapoznanie się młodych ludzi odbyć się ma w drodze pomiędzy portem i kilka kilometrów oddalonych odeń Atenami, wieczorem zaręczyny, ślub dnia następnego, nazajutrz po ślubie odjazd do Stanów Zjednoczonych. Tak przynajmniej przewiduje program. Jak będzie w istocie, trudno na razie przewidzieć.

Dzieci bez uśmiechu. Może ten numer „Roli" wpadnie w ręce którego z tych dzieci, co te nieraz nic mają co do ust włożyć, które nie posiadają bucików, czy innej niezbędnej odzieży, a które wskutek tego czują się nieszczęśliwe, a twarz ich rzadko kiedy ozdobi uśmiech zadowolenia. Uśmiechają się rzadko, ale przecież ta oznaka szczęścia i radości jest im znaną. Otóż niechże wiedzą te biedactwa, że ponad nich są jeszcze nieszczęśliwsze dzieci i to już nie jednostki, ale ogół dzieci miejskich w Rosji. Napróżno szukalibyśmy dziś na ulicach miast rosyjskich roześmianych twarzy dziecięcych, próżno nasłuchiwalibyśmy radosnych głosów, wyglądali błyszczących oczu i świeżych rumianych twarzyczek. Obrazki takie dawno zniknęły w tym kraju nędzy i codziennej uświęconej zbrodni. Jak dowodzą zestawienia statystyczne, na 100 dzieci rosyjskich 80 oddaje się zgubnym nałogom, jak zażywanie kokainy, palenie papierosów i picie wódki. Stosunek ten u dziewcząt przedstawia się jeszcze gorzej, gdyż te oprócz powyższych nałogów handlują własnem ciałem. A handel ten zaczyna się często od ósmego roku życia. W roku 1926 dokonały dzieci około 30 tysięcy przestępstw, a z tego 213 dzieci popełniło morderstwo lub inną jaką ciężką zbrodnię. I znów jak mówi statystyka na 100 dzieci rosyjskich 24 cierpi na dotkliwy upadek sił, 20 na poważne zaburzenia kręgosłupa, 16 na oczy, 10 na gruźlicę, a 8 na wady serca. Dziewczynka niemal każda zarażona jest chorobą weneryczną. Nic więc dziwnego, że na ustach takich dzieci nie wykwita nigdy uśmiech szczęścia, że to już nie dzieci, ale za życia chodzące trupy. Niechże więc te nasze dzieci, które nie mają wiele rozkoszy na świecie, nie narzekają, ale pamiętają o tem, że los ich jeszcze nie jest najgorszy, że są jeszcze nieszczęśliwsze istoty na świecie.

Niesmaczny żart. W gazetach paryskich ukazały się olbrzymie nekrologi, zawiadamiające o zgonie b. posła do parlamentu Feliksa Gabeaurite. W nekrologach zaznaczono, że jako miejsce zbiórki przyjaciół i znajomych byłego posła obrano główne wejście cmentarza.

Dnia 25 marca około południa przy głównem wejściu na cmentarz zebrało się liczne towarzystwo, pragnące uczcić zmarłego, składające się przeważnie z parlamentarzystów francuskich. Jakież było zdziwienie wszystkich, gdy zamiast katafalku z trumną pana posła zjawił się przed nimi nagle żywy i uśmiechnięty sam p. Feliks Gabeaurite, Rozległy się okrzyki zdziwienia, nawet przerażenia. Ogólna konsternacja. Narazie wszyscy oszołomieni. Dwie panie, bardziej nerwowe, zemdlały czy miały zamiar zemdleć... Okazało się, że autorem tej komedji był sam p. Gabeaurite. W czasie stypy pogrzebowej, na którą zaprosił w rezultacie wszystkich swoich znajomych, niedoszły nieboszczyk bawił się bardzo dobrze. Okazało się, iż zanim ukazał się przyjaciołom, skrzętnie na boku zanotował w notesie ich nazwiska. Wszystkim im bardzo pięknie dziękował. W czasie stypy jeden z przyjaciół nie wytrzymał i zawołał w pewnym momencie:

— Ach! przygotowałem ci taką piękną mowę pogrzebową!

Wtedy wszyscy (i sam nieboszczyk) zaczęli prosić go, aby wygłosił tę mowę. Przyjaciel nie dał się prosić i mowę wygłosił... Niektórzy mieli łzy w oczach, inni podobno uśmiechali się ironicznie...

Z przyjaciółki mąż. W pewnym szpitalu w Tisbury pracowały od szeregu lat dwie pielęgniarki, połączone serdecznym węzłem przyjaźni. Gdy jedna z nich panna Edwarda opuściła posade, aby się udać do innego bractwa, przyjaciółka jej Ewa Burtt przeniosła się wraz z nią do tejże miejscowości. Nagle stała się rzecz niespodziewana, w organizmie Ewy Burtt dokonała się tak radykalna zmiana, że musiała się ona zarejestrować w urzędzie policyjnym i parafji jako mężczyzna. Pan Edward Burtt, który ma obecnie 29 lat jest z tej zmiany bardzo zadowolony i zamierza się ożenić ze swą dawną przyjaciółką i dali już na zapowiedzi.

Kobieta na czele szajki złodziejskiej. Na magazyny, handlujące futrami w Anglji padła prawdziwa panika. Od dwóch lat stały się one terenem olbrzymich kradzieży, zorganizowanych tak przebiegle, że dotychczas nie zdołano wpaść na trop przestępców. Policja jest przekonana, że wszystkie wypadki tych kradzieży pozostają z sobą w ścisłym związku i że ma się tu do czynienia z bandą, pracującą na rachunek jakiegoś „przedsiębiorcy", który sobie tylko znanemi drogami eksportuje drogocenny łup zagranicę. Stwierdzono, że na czele bandy stoi bardzo wytworna, młoda i piękna kobieta, posiadająca do swej dyspozycji cały sztab pomocników. Wszyscy oni są wytrawnymi znawcami futer, o czem świadczy fakt że, wybierane są zawsze najcenniejsze płaszcze i futra, a wartość skradzionych rzeczy idzie już w miljony, gdyż szajka uprawia swe praktyki bezkarnie od jesieni 1928 r., mimo że policja bezustannie jest na nogach i nie szczędzi pracy, by zdemaskować niebezpiecznych przestępców.

Niezwykły wypadek zaniku pamięci. Często zdarza się, że człowiek traci pamięć wskutek choroby albo doznanego wstrząsu nerwowego. Czasem też zanik pamięci jest spowodowany uszkodzeniem mózgu. Żeby jednak stracić pamięć bez żadnego widocznego powodu, jest niewątpliwie wypadkiem bardzo rzadkim i niezwykłem. W miejscowości Brighton pod Londynem młoda, przystojna panna zwróciła się do dwóch przechodniów z prośbą odprowadzenia jej do urzędu policyjnego, gdyż zapomniała swego nazwiska i adresu. Zaprowadzono ją do szpitala, gdzie podała, że prawdopodobnie jej imię jest Elżbieta, nie wie jednak, gdzie mieszka i w jaki sposób dostała się do Brightonu. Poszukiwania, wszczęte przy pomocy telefonu, dały wynik dodatni, niebawem zgłosił się do szpitala w Brighton główny inżynier londyńskiego towarzystwa autobusowego, George Shave i w zbłąkanej dziewczynie poznał swoją córkę, Cecylję, która też na widok ojca odzyskała pamięć i wróciła w jego towarzystwie do Londynu. Okazało się, że Cecylja Shave, po wyjściu z atelier fotograficznego w Londynie, gdzie pracowała, błąkała się całą noc po ulicach i wreszcie zupełnie wyczerpana doszła do Brighton, utraciwszy zupełnie pamięć o tem, co się z nią przez ten czas działo. Imię Elżbieta, które zapamiętała, jest imieniem jej siostry. Wypadki podobne lekarze tłumaczą dziedzicznością, która się objawia nieraz dopiero w trzecim a nawet w czwartem pokoleniu. Powyższy wypadek należał do lżejszego zaniku pamięci, gdyż zdarza się nieraz, że osobnik dotknięty tą chorobą traci pamięć wszelkich wydarzeń z poprzedniego życia na dłuższy czas i dopiero jakiś nagły wstrząs powraca mu pamięć.

Walka na dnie morza. Głębie morskie kryją w swych otchłaniach straszne potwory, nawet dla uczonych przyrodników jeszcze mało znane. Do tego rodzaju potworów należy polip, coś nakształt ryby, nakształt płaza, opatrzony szeregiem krętych ramion, któremi ofiarę swą oplątuje, dusi i wciąga do swej jamy żołądkowej.



Biada nurkowi, gdy w głębiach oceanu spotka się z tym zimnym, oślizłym, galaretowatym potworem. Rycina nasza przedstawia taką walkę na życie i śmierć — walkę człowieka na dnie morza z okropnym polipem.

Operacja pod wozem tramwajowym. W Sudney w Australji, pewien chłopiec, chcąc wskoczyć do znajdującego się w ruchu tramwaju, dostał się nogą pod koła. Mimo wszelkich usiłowań nie zdołano podnieść ciężkiego wozu, by nogę ofiary uwolnić. Sprowadzeni lekarze orzekli, że amputacja jest konieczna. Po odgrodzeniu więc miejsca wypadku kordonem policji i zachloroformowaniu nieszczęsnego chłopca przystąpiono do operacji, przyczem dwaj wykonujący ją lekarze zmuszeni byli spełniać swe trudne zadanie, leżąc na wznak pod wagonem tramwajowym. Operacja, przeprowadzona w tak niezwykłych warunkach, udała się znakomicie, chłopiec po amputacji nogi przyszedł do zdrowia w szpitalu.

Klejnoty w żołądku żarłoka morskiego. W morzu około Ameryki Południowej złowiono rybę nazwiskiem włócznik, w której wnętrznościach znaleziono szkatułkę, zawierającą trzy naszyjniki z pereł, dwa ozdobione rubinami i djamentami zegarki damskie, łańcuch złoty, trzy bransoletki i wisiorek szmaragdowy. Jak przypuszczają, szkatułka była własnością jakiejś pani, która skoczyła z nią do morza podczas katastrofy okrętowej, a przepływający właśnie włócznik połknął szkatułkę. Włócznik albo miecz (Xiphias gladiut) jest wielką rybą, sięgającą 5 metrów długości, a której górna część paszczy wydłużona jest w kształcie włóczni do półtora metra długości. Ryba ta spotykana też jest w morzu Śródziemnem.

RZECZY CIEKAWE.

Zwierciadło jako najstarszy towarzysz kobiety.

Od zamierzchłych czasów zwierciadło było nieodstępnym towarzyszem kobiety. Jako najdawniejszy sprzęt, należący do przyborów kokieterji kobiecej, znajduje się już na pomnikach egipskich, pochodzących z czasów przed Mojżeszem. W starożytności robiono je z polerowanego metalu, mieszaniny cyny i miedzi, później wyrabiano je ze srebra. Kobiety hebrajskie posługiwały się zwierciadłami ze spiżu. Kobiety trojańskie przeglądały się w złotych zwierciadłach. Najpiękniejsze lustra posiadały Rzymianki. Były to istne arcydzieła sztuki, za które płacono bajeczne sumy. Zwierciadła, któremi posługiwały się Rzymianki z pierwszej ery chrześcijaństwa, były małe, okrągłe lub owalne, zaopatrzone w rączkę do trzymania. Miały jednak tę niedogodność, że czerniały pod wpływem tlenu powietrza, trzeba je więc było często polerować. Lustra ze szkła weszły w użycie dopiero w XII wieku. Wyrabiano je w Wenecji. We Francji były one znane już w r. 1250. Lustra te składały się z dwóch płyt, z których szklana spoczywała na ołowianej lub cynowej. Znacznie później zaczęto pokrywać szkło mieszaniną cyny i rtęci. Dopiero w XV wieku pojawiły się lustra takie, jakie posiadamy obecnie. Kobiety najchętniej zawieszały je u paska i nosiły jako drogocenną rzecz, gdyż w istocie zwierciadło przedstawiało wówczas ogromną wartość. Z tych też czasów pochodzi zapewne przesąd, że zbicie lustra grozi niepowodzeniem w ciągu najbliższych siedmiu lat.

Fabrykacja tytoniu i papierosów.

Tyle pieniędzy puszczamy z dymem, że nie od rzeczy będzie, gdy szerszy ogół dowie się, jakie koleje przechodzą wyroby tytoniowe, nim dostaną się do rąk palacza.

Oto jak odbywa się wyrób papierosów, cygar i tytoni w monopolowej fabryce w Warszawie, na Ochocie. Pierwszym etapem fabrykacji jest oddział przyrządzalni liści tytoniowych. Praca tu dzieli się na pierwszą i drugą operację. Pierwsza polega na otwieraniu bel, rozwiązywaniu z łyka liści tytoniowych i skrapianiu wodą zapomocą rozpylaczy, celem nadania liściom elastyczności. Surowiec skropiony w skrzyniach odsyła się do sytni (zwilżarni), gdzie utrzymana jest wilgoć od 95 do 100 proc. zapomocą pary, w temperaturze + 25 st. C. Ze sytni transportem mechanicznym sprowadza się skrzynie do drugiej operacji. Tu praca polega na składaniu i mieszaniu liści tytoniowych i cygarowych różnych gatunków.

Mieszanki sporządza się w specjalnych kaflowych przegrodach o pojemności do 800 kg. Surowiec po maturyzacji na drugi dzień składany jest do pak z oznaczeniem gatunku. Paki te przechodzą następnie do krajalni. Fabryka posiada krajarki systemu krajowego i wiedeńskie. Jedna maszyna taka kraje 700 do 800 kg. surowca dziennie. Surowiec krajany, w miarę krajania, jest wciągany zapomocą powietrza przez specjalne rury do t. zw. separatorów, które oddzielają miał od tytoniu. Jest to urządzenie nowoczesne, jakiego nie znał nasz przemysł prywatny, a które zastosowano dotychczas w bardzo niewielu fabrykach w Europie. Po przeschnięciu tytoń jest już gotowy do fabrykacji papierosów.

Na oddziale fabrykacji gilz znajduje się 50 maszyn gilzowych wyrobu krajowego, każda z nich produkuje 70 do 75 tysięcy gilz dziennie. W oddziale tym są też specjalne maszyny napychaczki, które nabijają tytoń do gilz; jedna maszyna napycha 85 tys. papierosów dziennie. Obok mieszczą się maszyny, które służą do fabrykacji papierosów bezustnikowych.

Papierosy gotowe idą do suszarni, gdzie po jednodniowem przynajmniej przeschnięciu są pakowane w pudełka, następnie w skrzynie i odsyłane do magazynów wyrobów gotowych. Papierosy pakuje się ręcznie i częściowo maszynami. Ostatnio sprowadzono maszyny najnowszego typu z Wiednia, które robią pudełka, jednocześnie pakują papierosy i zaklejają. Maszyna taka pakuje do 400 tys. papierosów dziennie. Pakowaczka krajowa jest w stanie zapakować 650 tys. sztuk dziennie bez robienia pudełek i zaklejania. Prócz tego są maszyny sygneciarki, które zaklejają pudełka sygnetkami (godło państwowe), wybijają stempel kontrolny z numerem fabryki, datą i numerem stołu, by w razie reklamacji wiadomo było, która fabryka i jaki stół (robotnik) robił papierosy. W fabryce jest pakowalnia tytoniu, w której tytoń jest ważony, pakowany w odpowiednie paczki i przygotowany do sprzedaży.

Jak powstały nazwy wszystkich części świata.

Europa. Nazwa pochodzi od staroasyryjskiego wyrazu erek — upadek, ciemność, kraj zachodni. Europa była badana od południowego wschodu. Najpierw zostały zbadane wybrzeża morza Śródziemnego, później Atlantyku, wkońcu dopiero środek Europy. Fenicjanie w V w. przed Chr. dotarli już do Wielkiej Brytanji i na morze Północne, Herodot, historyk grecki, zwiedził około 450 r. przed Chr. ziemię od morza Kaspijskiego aż do Italji. Około r. 350 Pytheas z Marsylji dotarł do morza Północnego. Rzymianie poznawali Europę dzięki podbojom (Cezar — Hiszpanję, Druzus — aż do Elby). Tacyt w 100 r. po Chr. opisał — Germanję.

Azja. Nazwa pochodzi od staroasyryjskiego acu — wejście, jasność, kraj wschodni. Początkowo nazwa ta oznaczała tylko Azję Mniejszą, rozróżnienie Azji od Azji Mniejszej powstało za czasów Herodota (około 440 r. przed Chr.). Aleksander Wielki w r. 333 przed Chr. poznał Azję aż do Indyj. Rzymianie prowadzili handel karawanowy z Indjami i Chinami. Chrześcijaństwo szukało wyznawców aż w Chinach, ale związków z nowemi krajami nie wytworzyło. Islamizm rozpowszechniał się w Indjach i na wyspach Malajskich. Wyprawy krzyżowe stworzyły handel z Azją południową. Azję wschodnią poznał Marek Polo z Wenecji. W r. 1275—1292 był gościem wnuka Dżingis-Chana w Pekinie. 200 lat później podjęli tam wyprawy Portugalczycy. Kolumb, odkrywając Amerykę, myślał, że jest w Japonji (Zipangu). W 1498 r. Vasco da Gama wylądował w Kalkucie w Indjach. W 1517 r. Portugalczycy dotarli do ujścia Sikangu, a w 1542 do Japonji. Azję północną zaczęli zdobywać Rosjanie w roku 1579, do oceanu Spokojnego dotarli w r. 1640.

Afryka. Nazwa nieznanego pochodzenia, dopiero przez Rzymian została rozciągnięta na całą ziemię, przedtem oznaczała wybrzeża morza Śródziemnego. 600 lat przed Chr. północno-wschodni kąt Afryki był już krajem kulturalnym. Ale dopiero w r. 1486 Diaz dostał się do Afryki południowej (Przylądek Dobrej Nadziei), a w r. 1483 Vasco da Gama

objechał Afrykę w drodze do Indyj. Od 1500—1750 udawali się do Afryki tylko kupcy i misjonarze. Od r. 1788 rozpoczęło się badanie Afryki środkowej dzięki stworzeniu w Londynie Towarzystwa Afrykańskiego. W 1884 r. rozpoczął się polityczny podbój Afryki.

A m e r y k a. Nazwa powstała od nazwiska Włocha Amerigo Vespucci (1451—1512), który cztery razy odbył podróż do odkrytego przez Kolumba nowego kraju. Amerykę północną odkryli pierwsi Normanowie w 977 r., przybywszy z Islandji do Grenlandji i północnego kąta Ameryki. Do 1400 roku istniał jeszcze kontakt Norwegji z Ameryką. W roku 1492 Amerykę odkrył na nowo Krzysztof Kolumb z Genui. Amerykę środkową od wschodu odkrył Kolumb w r. 1502. Zachodnie wybrzeża odkryto w r. 1516. Hiszpanie zagarnęli Meksyk w r. 1518, a całą Amerykę środkową w r. 1524. W Ameryce południowej najpierw odkryto Venezuelę (1498 Kolumb), później Brazylję (1500 Portugalczycy), Argentynę i Paragwaj (1515 Hiszpanie).

A u s t r a l j a. Terra australia — ziemia południowa. W XVI w. Hiszpanie i Portugalczycy odkryli część wysp, w XVII w. Holendrzy — Australję i Nową Zelandję. W r. 1642 Tasma opłynął nowy ląd dookoła.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Można nadsyłać znaczkami pocztowymi po 30 groszy za numer.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Surówka** w K.: Wszystkie nadesłane utwory zupełnie dobre. — **Maryśka z Kamionki:** Jedno w numerze, drugie w teczce na przyszłość. Łączę pozdrowienia dla całej Rodziny. — **Wincenty Kula** w M. K.: Zagadki zupełnie dobre, a tak ładnie i starannie napisane, że aż miło popatrzeć. — **Antoni Leśniak w S.:** Obydwa wierszyki zupełnie dobre; będziemy starali się zamieścić je. — **J. S.:** Jak na pierwsze prace, to wierszyki wcale niezłe, ale do druku jeszcze za słabe. Nie można bowiem rymować słów: „słonko" — „wiosenko", lub: „zaśpiewa" — „oj dyna". Taksmo w innych są drobne usterki, których łatwo było uniknąć. Ale niech się Pan nie zraża, ale pracuje dalej, a co napisze, niech uważnie przeczyta i poprawi. Każdemu, kto sobie tego życzy, odpowiadamy pod umówionym znakiem, nie zdradzając jego nazwiska, gdyż wiemy, że nieprzychylna odpowiedź nie sprawia przyjemności, gdy ją wszyscy znajomi czytają. — **Jan Matuszkiewicz** w G.: Oj napisałbym ja jeszcze niejedną powieść, gdyż tematu mi nie brak, ale czasu mam zbyt mało, aby się do takiej pracy zabrać. A może się jeszcze i zabiorę. Wierszyk dość dobry, lecz nieco spóźniony, gdyż przed świętami niema już dla niego miejsca, a po świętach kwiecień się kończy. Schowamy go jednak, może na przyszły rok da się zużytkować. — **Antoni Zawadzki** w T.: Tak artykulik, jak i rysunek zupełnie dobre. Zamieścimy. — **S. Wachtel** w T.: Nadesłane zagadki w miarę miejsca zamieścimy. — **Stanisław Golachowski** w B.: Mimo najszczerszych chęci nie możemy. — **Paweł Oparski** w S.: Adres: J. K. Lipinki, poczta Mościska. „Na pożegnanie" ani to wiersz, ani proza. — **Kachna Ł. Łza** w W.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy. Wszystko pójdzie. — **Jakób Grzywa** w N.: Po książkę zwrócić się do księgarni, która się ogłasza w Nr. 14 „Roli" — **Banaś Jan** w P.: Mamy zapisane na I-szy kwartał tylko 3 zł., dlatego czek Pan dostał. Czeskie pieniądze są w tej cenie, że 100 koron czeskich kupi Pan za 26 zł. 30 gr. — **Jan Omyła** w L.: 5 zł. otrzymaliśmy — dziękujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Szarady.

(Ułożył H. B. Głębicki).

„Strzelcy" na boisku biegi urządzali,
Pierwsza i piąta widniała hen w dali.
Potem zaś stali w szeregach zwartych;
Żetony mieli z pierwszych piątych czwar-
[tych,
Potem trzecie boisku maszerowali
I piosnkę: „Hej strzelcy wraz"... śpiewali.
Całość w Krakowie — myślę, że zgadniecie,
Jeno na dobry drugi pół trzeci wpadniecie.

II.

Pierwsze w gramatyce ma miejsce za-
[szczytne,
Trzecie drugie piąte państwo starożytne,
Gdzie czwarta piąta na pociąg czekamy,
Całość w naszej Warszawie nieraz mie-
[wamy.

3. Kryptogram.

(Ułożył M. Blum z W.).

. o . y . o . o . . e , . a . .
. . y . . a . y: . a . e . . ą . . o . ę
. . . e . ie . o . o . ia . y.

Zamiast kropek wstawić spółgłoski a otrzymacie znaną Wam fraszkę poety 17-go wieku.

4. Układanki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

1) Albo + ryba = miasto w Polsce.
2) Samogłoska + rola = miasto śląskie.

5. Kwadrat magiczny.

(Ułożył W. Zieliński z S.).



Przyrząd kinowy.
Wyspa,
Zagadka obraz.
Używane w kartach.
Grobla inaczej.

6. Bilety wizytowe.

(Ułożył Kula Wincenty).

Artur Sotera

Otton Ragliri

Odgadnąć zajęcie tych osób.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 13 „Roli": 1. Rebus: „Pokora ludzka niebiosa przebija i serca zniewala". 2. Szarada: Podole. 3. Łamigłówka przysłowiowa: „Im dalej w las, tem więcej drzew. 4. Przestawianka geograficzna: Goczałkowice. 5. Kwadrat magiczny: Rola-oset-Lena-atak. 6. Bilety wizytowe: Hercegowina. Maciek Bzdura.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Hela Bandułówna z M., Władysław Mazur z T., Alfons Jakus z D., Irena Wnękowiczówna z D., Józef Węgiel z C., E. Lemberger i B. Flaster z T., S. Wachtel z T., R. Górecki z T., H. Górecki z T., J. Gac z B., J. Gara z W.

Nagrody wylosowali pp.: Władysław Mazur z T. i Józef Węgiel z C.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W Nowym Jorku.

— Tutaj, proszę pani, jest największy drapacz chmur Nowego Jorku.

— A kiedy on drapie?

Już wie.

— Wojtek, jak zawołam na ciebie „Dzian", to pamiętaj się obejrzeć.

— Dobrze, jaśnie panie. A jak ja będę chciał, żeby jaśnie pan się obejrzał, to jak mam zawołać?

— Głupiś!

— Dobrze, jaśnie panie, już wiem.

On szukał, ale nie znalazł.

— Nie mnie cię oszukać! Trzeba było się ożenić z głupszą!

— Szukałem... nie znalazłem — tłumaczy się pokornie mąż.

Do Szanownych Czytelników „Roli"!

Dnia 10 lutego wydalił się chłopiec nazwiskiem Karol Kowalciuk lat 11, ktoby wiedział o jego pobycie, aby zawiadomił Urząd gminny w Spytkowicach za zwrotem kosztów. Ktoby go przetrzymywał a nie zgłosił, będzie odpowiadał sądownie.

Andrzej Miłon.

Zaginęły weksle,

wystawione przez Salomeję Florczak, Skawica, na Zł. 84.40, płatne 15 maja b. r., Franciszka Nosalika, Maków, na Zł. 45.50, płatne 15 maja b. r., Marja Polańska, Żarnówka, na Zł. 64, płatne 4 maja b. r., żyrowane przez Wincentego Zajdę, przeto ostrzegam przed nabyciem tychże.

Wincenty Zajda, Maków.

Do Szan. Czytelników „Roli"!

Ktoby wiedział o śmierci mego brata Ignacego Klimeczki, który służył przy b. armji austr. K. K. Landst. Reg. 31, 3 komp., III Zug, który zaginął na włoskim froncie bez wieści w roku 1917, proszę o jaką wiadomość pod adresem: F. Klimeczko, Woźniki L. 131, Wadowice. Koszta korespondencji zwrócę.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 marca b. r.

Pszenica .	37·00—37·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto .	19·00—19·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	17·50—18·00	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—220·00
Jęczmień .	19·00—20·00	Mąka żytnia	35·00—36·00
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka pszen.	68·00—69·00
Groch zwyk.	30·00—31·00	Otręby pszen.	14·00—15·50
Siano słodk.	9·00—9·50	Otręby żytnie	13·00—13·50
Łubin żółty	27·00—28·00	Mąka czerw.	17·00—18·00
Koniczpastew.	11·00—12·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 25 marca b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·20 do 1·56 zł.	Jałownik	od 1·13 do 1·53 zł.
Woły . .	od 1·30 do 1·60 zł.	Cielęta .	od 1·12 do 2·00 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·48 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	2·45 do 2·64 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 3·15 do 3.40